AS



Nr. 13.

29 MARCA 1936
CENA 40 GROS

ULUBIENIEC
BETTY GRABL

Fot. Polonsky, Hollywood.

NASZ NOWY KONKURS
na najestetyczniejszy wygląd sportsmenki



Haneczka Pawłowska ze Lwowa na swoim kajaku.

Podobnie jak rzucona z góry kula śnieżna, lecąc nabiera ciągle na objętości i staje się wkońcu lawiną, tak też i myśl wciąga w swoją orbitę coraz liczniejsze rzesze ludzkie, wzbudzając wzrastające zainteresowanie. — Konkurs nasz na najestetyczniejszy wygląd sportsmenki, można też, bez przesady, porównać do owej kuli, gdyż poczta przynosi nam coraz to liczniejsze i coraz to lepsze fotosy pięknych pań w różnych sytuacjach życia sportowego. Z tych też względów konkurs nabiera na wyrazistości, dając bogatą gamę obrazów. Wobec tego, że poza wskazanemi pierwotnie działami sportów, również i inne dopominają się o udział w konkursie, rozszerzamy go niniejszem również na sporty wodne, uprawiane przez piękne panie z tem, że Redakcja wyznaczy następnie odnośne nagrody. Jakkolwiek połączenie dwóch żywiołów — wody i ognia, za który, ogółem biorąc, musimy uważać kobiety — zdaje się być niemożliwem, to jednak nie wątpimy, po przejrzeniu ostatniej poczty, że symbioza ta da dobre wyniki. Zresztą kobieta odznacza się, podobnie jak kameleon, darem dostosowywania się do sytuacji i warunków i zmieniania zgodnie z koniecznością swej natury, wyglądu. — Właśnie ta zmienność daje kobiecie większe daleko, niż mężczyźnie możliwości, z których, zresztą kobiety umieją korzystać. A więc do współzawodnictwa w estetyce stają również panie uprawiające sporty wodne — narówni z amazonkami, narciarkami, tenisistkami, automobilistkami i adeptkami sportu św. Huberta.



Wowalu P. Marja Orzechowska ze Lwowa na korcie tenisowym.



P. J. Tomaszewska, z majątku Gąsawy w Szamotulskiem, na ulubionym wierzchowcu.



Na lewo: P. Józefa Mościcka w Adelboden Szwajcarja, podczas wycieczki turystycznej.



Na prawo: P. L. T. z Zakopanego ze swym wierzchowcem „Wandalem"

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ.
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). - TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 13 **Niedziela 29 marca 1936** **Rok II**

ASY NUMERU 13-GO:

TAM, GDZIE POWSTAJĄ NASZE NOTY DYPLOMATYCZNE.
Dzieje historycznego pałacu, w którym od czasu ministra Brühla zmienili się gospodarze, jak również zewnętrzny wygląd. Str. 4—5.

CHÓR DANA ODPOWIADA NA PYTANIE NASZEJ ANKIETY: KTÓRY MOMENT W ŻYCIU ZADECYDOWAŁ O NASZEJ KARJERZE?
Jak powstał znany w całym świecie chór Dana, który stanowi chlubę polskiej kultury artystycznej. Str. 7.

PANIE, O KTÓRYCH MÓWI STOLICA.
Sylwetka p. ministrowej Matuszewskiej na tle życia sportowego i towarzyskiego Polski. Str. 8.

RASTRO.
Tam, gdzie można poznać naturę Hiszpana i pogapić się na różne mniej lub więcej autentyczne antyki. Str. 11.

NIEDOMAGANIA TOWARZYSKICH ROZMÓW.
Ciekawy sąd o kulturze towarzyskiej i sztuce konwersacji, wygłoszony 200 lat temu, zachował swą pełną aktualność. Str. 12.

SENSACJA PRZESZŁOŚCI.
Co kilkaset lat temu emocjonowało czytelników pism i jak one powstawały. Str. 14—15.

OD GIRLSY DO SOLISTKI.
Drogi, jakiemi początkująca „piękna buzia" dochodzi do samodzielnej roli, są trudne i nieraz wysoce emocjonujące. Str. 16—17.

SPOJRZENIE Z NIEBA.
Reportaż z obłoków, z pośród których lotnik sokolem okiem przypatruje się ziemi. Str. 19—20.

NOWOCZESNA BIELIZNA PIĘKNEJ PANI.
Praktyczne wskazówki jak połączyć estetykę bielizny damskiej z jej trwałością i taniością. Str. 28—29.

Powieść. — Nowela. — Życie towarzyskie i artystyczne. — Moda męska. — Kącik filatelistyczny. — Koronki. — Dział gospodarstwa domowego (przepisy wielkanocne). — Humor i rozrywki umysłowe. — Na scenie. — Nowe książki. — Program radjowy.



Fot. New York Times — Londyn.

W słynnym teatrze medjolańskim „La Scala" odbyła się uroczysta premjera nowej opery komicznej Ryszarda Straussa „Milcząca kobieta". Mistrzowska obsada poszczególnych partyj śpiewaczych, niezwykle staranna reżyserja i stojące na najwyższym poziomie wykonanie orkiestralne dzieła, złożyły się na całość wyjątkową i wprost olśniewającą. Rozentuzjazmowana publiczność zgotowała sędziwemu kompozytorowi burzliwe owacje. Na naszem zdjęciu Ryszard Strauss w towarzystwie pierwszej sopranistki „La Scali", Małgorzaty Carosio, wykonawczyni tytułowej roli.

Tam, gdzie powstają nasze noty dyplomatyczne.



Widok pałacu Min. Spr. Zagr. zwanego pałacem Brühla, od strony Placu Marszałka Piłsudskiego w Warszawie.

Dziejopis Warszawy Jarzębski opowiada, iż tereny, na których wznosi się obecnie przepięknie odnowiony gmach MSZ-u, nabył w roku 1611 od Zebrzydowskich Jerzy Ossoliński, który wybudował „pałac z włoska murowany". Były tam z Rzymu sprowadzane bronzowe figury, i... krzesło z wagą, na które wsiadłszy JWPan, może się spuścić nadół, lub wywindować do góry"! (A więc dzisiejsza winda). W r. 1694 architekt G. Belotti zbudował jednopiętrową fasadę o trzech arkadach z trójkątnym szczytem. Z początkiem XVIII wieku pałac Ossolińskich przeszedł na własność



Plafon wykonany przez prof. Feliksa Kowarskiego w sali aktowej. Na tle symbolicznych figur niebieskich konstelacji — Europa z Bykiem

marszałka Pawła Sanguszki. Król August II, naśladujący rozrzutnością splendor „króla słońca" zamierzał stworzyć minjaturki Wersalu, zarówno w Dreźnie, jak i w Warszawie. Za przykładem Zygmunta III, Jana III i Władysława IV, postanowił wznieść swój prywatny pałac królewski nazwany pałacem Saskim. Miał to być olbrzymi kompleks gmachów z teatrem, kościołem, salą balową i ujeżdżalnią. Do projektów drezdeńskiego architekty Pöppelmana wciągnięto również tereny Sanguszków, sąsiadujące z pałacem Saskim. W r. 1721 w akcie donacyjnym przechodzi wspomniany pałac na własność królewską. Osławiony zausznik królewski i szarlatan polityczny hr. Henryk Brühl, prezydent ministrów Saksonji i Polski odkupił za 300.000 zł. polskich pałac. Sprawą jego restauracji zajęła się hr. Brühl, by mieć w Warszawie godną siedzibę, namiastkę drezdeńskiego Belwederu, zniszczonego przez Fryderyka II, nienawidzącego Brühla. Jak wskazuje sztych Rizzi-Zannoniego z r. 1772, podniesiono piętro, dobudowano dwa skrzydła pokryte mansardowym dachem. Podwórze urządzono według polskich tradycyj pałacowych.



Część gmachu M. S. Z. od strony ul. Fredry (dawna poczta), została również odnowiona.

Kształt trójkąta przyczynił się wielce do nadania mu reprezentacyjnego charakteru. Przepiękne odnowione figury, zdobiące do dnia dzisiejszego bramę wjazdową wykonał Franciszek Ksaw. Deibel, twórca alegorycznych figur w Ogrodzie Saskim, będącym dla Warszawy tem, czem Tuileries dla Paryża. Cztery figury umieszczone między pilastrami frontonu pałacu wykonał Lorenzo Matielli, lub Piotr Condray, urodzony w Paryżu 1713 r. (według dra Alfreda Lauterbacha, „Warszawa").



Wejście reprezentacyjne od ul. Fredry. Klatka schodowa z alabastrową balustradą.

Wnętrze pałacu uposażono nader bogato. Plafony, jak pisze hr. Brühl wykonano w Dreźnie „dans le gôut français, dont on fait grand cas ici". Do pałacu przylegał park zaprojektowany w kształcie wachlarza a sąsiadujący z pałacowym Saskim Ogrodem. Autorem pałacu Brühla był „konduktor budowlany" Jan Gotfryd Knöbel. Historja pałacu brühlowskiego od samego założenia jest niezwykle przykra. Po śmierci nabywa od Brühla w r. 1795 pałac osławiony Adam Poniński. W r. 1764 mieści się tam rosyjska ambasada. W r. 1788 płaci za budynek 618.00 zł. pol. skarb polski. W tym okresie znikło bogate urządzenie. Przeprowadzono remont budynku, zmieniając jego rokokowy charakter na stanisławowski. — W r. 1809 gościła tam ambasada francuska, później rezydował w nim ks. Konstanty, a od r. 1882 mieścił się aż po czasy powstania państwa polskiego centralny urząd pocztowo-telegraficzny.

Przebudowę tego zabytkowego gmachu szczęśliwie powierzono znakomitemu arch. Bogdanowi Pniewskiemu, twórcy morskiej bazyliki w Gdyni i innych monumentalnych budowli. Bogdan Pniewski rozwiązał nader trudne problemy ukształtowania architektonicznego i uposażenia wnętrza, w sposób, mogący służyć za wzór nawet Zachodowi.

Utalentowany architekt potrafi w dziwnie szlachetny sposób, łączyć zdobycze nowoczesnej architektury z utrzymaniem dawnego reprezentacyjnego charakteru zabytku. Już sam widok zewnętrzny fasady nowo zbudowanego skrzydła gmachu MSZ. od strony ogrodu Saskiego, świadczy o niezwykłych twórczych zdolnościach i wykwintnym smaku artystycznym twórcy. Trafnie użyta forma logii, opartej na smukłych kolumnach doskonale harmonizuje ze starą galerją na arkadach, zbudowaną na miejsce zburzonego pałacu Bielińskich, przez arch. Idźkowskiego w 1842 r. Proste kolumienki wprowadza Pniewski również do wnętrza gmachu, jako powtarzający .się rytmicznie motyw podniesiony do wartości stylowego elementu. Dla zacierania linearności fasady używa żłobkowanych kamiennych okładzin jako pilastrów. Ukształtowanie przestrzenne reprezentacyjnego wejścia i klaski schodowej umiejętnie skomponowane. Surowość i prostotę formy łagodzi tu artysta bogatem użyciem złotawego alabastru balustrad i łagodnością barwnych tonacyj tradycyjnych polskich stiuków, oraz subtelnem, barwnem akcentowaniem kolumienek i pilastrów. Przejrzystość wiązań konstrukcyjnych przemawia swą logiką. Wnętrza apartamentów ministerjalnych mimo braku uposażenia czynią już dziś nader estetyczne wrażenie. Prof. Feliks Kowarski, którego szczęśliwie użył architekt prof. Bogdan Pniewski.



Plafon prof. Kowarskiego w gabinecie ministra przedstawia personifikację XII godzin.







Od lewej ku prawej: Wejście reprezentacyjne od ul. Fredry, na prawo i lewo garderoby. — Sala aktowa z plafonem prof. Kowarskiego przedstawiającym personifikacje konstelacji niebieskich na nieboskłonie. — Westibul przeznaczony na galerję obrazów.



***Na lewo:** Widok klatki schodowej I. piętra w nowym skrzydle M. S. Z.*



***Na prawo:** Widok nowego skrzydła reprezentacyjnego harmonizującego ze starym budynkiem.*

okazał się mistrzem w kompozycji dekoracyjnej plafonów. W gabinecie ministra na tle rozpylonego subtelnie błękitu firmamentu, stworzył powiewną kompozycję o charakterze klasyczno-romantycznym, przedstawiającą znaki Zodjaka. W następnym konferencyjnym gabinecie, unoszą się na tle czerwieni palonego złota, zalotne personifikacje godzin dnia. W sali aktów płynące niebo z figurami, reprezentującymi konstelacje ciał niebieskich. Plafony Kowarskiego to arcydziełka, związane tematowo z tradycją, rozwiązane malarsko z niezwykłym smakiem. Prof. Pniewski w Kowarskim znalazł godnego malarza, który powinien wykonać całość malarskich dekoracyjnych robót, aby nie zatracić wprowadzonego w te ramy subtelnego, dekoracyjnego wątku. Stworzono wzorowe dzieło, które przynosi chlubę naszej architekturze i dekoracyjnemu malarstwu.

Marjan Dienstl-Dąbrowa.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

NOWOŚCI

Naturalnie: Hiszpanja! Republika Espanola idzie w ślad dawnej monarchji i wciąż to uszczęśliwia nas olbrzymiemi serjami. Inna rzecz, że druk wgłębny, rotograwurowy angielskiej firmy Waterlow et Sons musi otrzymać tylko słowa uznania, ale ani 40-lecie „Associacion Prensa de Madrid" ani też reprodukowane postacie nie są znów tak wybitne, aby je całemu światu przedstawić. Serja w 3 formatach zawiera wartości 1 c., 2 c., 5 c., 10 c., 15 c., 20 c., 25 c., 30 c., 50 i 60 c. Wizerunki zamieszczonych przez nas osób powtarzają się na innych wartościach.

André Marie Ampère (1775—1836), to człowiek, o którym już każdy młody filatelista będzie wiedział, zanim jeszcze zapozna się z nauką fizyki. W stulecie śmierci jego Francja przypomniała sobie autora dzieła „La théorie des phénomènes electro-dynamiques". Artystyczny sztych A. Delzens'a w kolorze sepji uzupełnia serję znaczków „sławnych Francuzów".

Nikt nie zaprzeczy chyba, że Nansen jest jednym z bohaterów ludzkości. Pozwolimy sobie przypomnieć kilka dat: urodzony w 1861, przebywa jako pierwszy człowiek Grenlandję ze wschodu na zachód w r. 1888, w 7 lat później osiąga ówczesny „rekord północy", to jest szerokość geograficzną 86⁰ 4', zostaje profesorem w Krystjanji (Oslo), przedsiębierze cały szereg wypraw oceanograficznych i polarnych, w 1917 mianowany nadzwyczajnym posłem Norwegji w Waszyngtonie, w r. 1920 zakłada „Office international pour les réfugiés", w r. 1922 otrzymuje nagrodę pokojową Nobla, a teraz możemy powiedzieć „dopiero", Norwegja wydaje znaczki na jego cześć i na dobro założonego przez niego towarzystwa (pomocy dla emigrantów rosyjskich). Tak, jak zwykle w Norwegji, jest to serja z 4 sztuk za 10, 20 i 30 öre z małą dopłatą dobroczynną, która jednak pomnożona przez miljony egzemplarzy, przyniesie więcej, aniżeli to się dzieje w Austrji, gdzie na małych nakładach serji zarabiają głównie spekulanci. (Wszystkie egzemplarze reprodukujemy ze zbioru dyr. A. Landaua).

Ukazał się nowy polski znaczek dopłaty: za 25 gr. — 1-złotówkę z P. Prezydentem Mościckim zaopatrzono brzydkim pionowym czerwonym nadrukiem. Czy było to potrzebne?

Od czasu do czasu będziemy podawali terminy poważniejszych aukcyj: Dorotheum (Wiedeń) 24. III, Harmer-Rooke (Londyn) 3 i 4. IV., H. R. Harner 30 i 31. III. *W. H.*



Najnowsze znaczki hiszpańskie (u góry, środkowy w drugiej linji i dwa dolne), oraz francuskie, wydane ku czci wybitnych uczonych i mężów stanu.

Który moment w życiu zadecydował o naszej karjerze?

CHÓR DANA

odpowiada na pytanie naszej ankiety

Że jeden człowiek robi w swem życiu jedną karjerę — to proste. Jest również do pomyślenia zrobienie pięciu karjer przez jednego człowieka, zaczynającego naprzykład od karjery artysty, muzyka, a kończącego na pośle na sejm i ministrze. Ale żeby pięciu ludzi zrobiło jedną karjerę nierozłączną, niepodzielną, a przy tem tak poważną, iż starczy ona dla wszystkich — to zagadnienie istotne zawiłe. Posłuchajmy, co na ten temat opowiedziało nam „pięciu dżentelmenów z Polski" — jak popularnie nazywają zagranicą nasz znany, wielce ceniony „Chór Dana".

Pogawędka toczy się w miłej i estetycznie urządzonej willi twórcy i kierownika chóru, Władysława Dana-Daniłowskiego na Saskiej Kępie w Warszawie. Fortepjan, radjo i patefon z adapterem dla nagrywania płyt przez głośnik — oto nieodłączni towarzysze rozmowy w tym przybytku piosenki. Towarzystwo sympatycznej gospodyni domu — małżonki p. Daniłowskiego — pani Niusi — która otwiera olbrzymie pudło czekoladek, sprawia, że rozmowa zatraca charakter suchego wywiadu dziennikarskiego. Stosy płyt gramofonowych nagranych przez chór w Polsce, Rosji i Niemczech dla tamtejszych wytwórni i olbrzymie albumy pamiątek, recenzyj, fotografij z wielu odległych zakątków Europy, ze stolic i z najcichszych naszych Łucków i Białystoków — to świadectwa triumfów artystycznych Dana i jego towarzyszy.

— Pomówmy najpierw o tem, jak chór powstał i co zadecydowało o jego powodzeniu zaraz od pierwszego debiutu — proponuję.

Władysław Dan odpowiada:

—W roku 1927, a więc wówczas, gdy zespoły rewellersów były na Zachodzie wielką nowością, a u nas nieznaną jeszcze atrakcją, bawiłem w Paryżu. Słyszałem tam kilkakrotnie słynny zespół jazzowo-śpiewaczy Jacka Hyltona. Zwróciłem uwagę na wspaniały dobór instrumentów tej orkiestry, na ich wzorowe zestrojenie i na zdumiewającą precyzję w wykończeniu szczegółów w grze i śpiewie. Tych wszystkich atutów brak było i niestety brak jest w dalszym ciągu różnym krajowym zespołom. U nas kompozytorzy, dyrygenci i muzycy dysponują wielkiemi zdolnościami, ciekawemi pomysłami, lecz zawsze brak im precyzji wykonania, zwłaszcza w tych właśnie szczegółach. Podniecony wynikami Hyltona, postanowiłem spróbować swoich sił. Po powrocie do Polski zaproponowałem współpracę czterem śpiewakom. Uprzedziłem, że będzie praca, „o jakiej nie śniło się filozofom"...

— Tak — przerywa p. Tadeusz Bogdanowicz, który jako bas specjalnie nadaje się do opowiadania wspomnień ponurych. — To było okropne. Ściśle pół roku, dzień w dzień mordował nas na próbach i za cały ten czas pozwolił śpiewać tylko trzy piosenki. Pół roku pracy, 180 prób — dla trzech piosenek. Można było zwarjować. Pod koniec, piosenki śniły mi się w koszmarnych snach po nocach...

— I wreszcie debiut — kończy Dan — w teatrze rewjowym „Qui Pro Quo" w Warszawie w roku 1929. Publiczność oczarowana, powodzenie zdobyte.

— To jest pierwsza karta naszej karjery —

mówią tenorzy, dwaj lwowiacy: Tadeusz Jasłowski i Adam Wysocki. (Tenorzy, jak widać, zabierają głos w weselszych chwilach rozmowy. Poza tem milczą, zapoznając się szczegółowo z zawartością pudła czekoladek...).

— Momentem ,decydującym o karjerze — kończę — był zatem Jack Hylton i pół roku żmudnej, usilnej pracy.

— Drugim etapem naszej karjery — mówi żartobliwie Dan — to powodzenie w... Europie. Zawdzięczamy je, jako nowocześni ludzie, wynalazkowi — radju. Po sukcesach teatralnych przyszły nagrania piosenek na płyty i występy w radjo. Jednego z naszych koncertów w listopadzie 1933 słuchano przez radjo na Łotwie. Napisali stamtąd do naszego Radja, że słuchali koncertu nieznanego im chóru, podając dzień i godzinę audycji i zapytując o nasz adres. W ten sposób doszedł do skutku nasz pierwszy wyjazd na występy zagranicę — na Łotwę. W analogiczny sposób odnaleźli nas Finlandczycy, organizatorzy koncertów w Rosji i Holandji. Pewnego razu śpiewaliśmy do radja holenderskiego w Hilversum. Audycji tej słuchał pewien impresarjo norweski z Oslo. I ten również odnalazł nas w ten sposób, że zwrócił się do radja holenderskiego o nasze adresy, poczem zaangażował nas na występy do Norwegji.

Pewnego razu zaproszono nas na występ do Zamku w Warszawie dla zaśpiewania piosenek przed P. Prezydentem R. P. Co się okazało? Pan Prezydent słyszał nas po raz pierwszy przez głośnik radjowy w czasie, gdy śpiewaliśmy na pewnym koncercie w sowieckiem studjo w Leningradzie. Spodobaliśmy się wówczas Panu Prezydentowi tak, iż postanowił usłyszeć nas osobiście, gdy wrócimy do kraju. Jak pan widzi — nasze powodzenie w zdumiewający wprost sposób wiąże się z falami eteru. Byliśmy z występami już w następujących krajach Europy: w Norwegji, Łotwie, Holandji, Austrji, Finlandji, trzykrotnie w Niemczech (w tem raz cały miesiąc) i dwa razy w Rosji sowieckiej. Przed kilku dniami wróciliśmy z tournée po Jugosławji i Rumunji. — W najbliższych dniach udajemy się po raz trzeci do Rosji, a stamtąd na Łotwę i do Estonji.

W jesieni bieżącego roku wybieramy się wreszcie na wielki objazd



Zespół chóru Dana ze swym założycielem Władysławem Daniłowskim na czele (wśrodku z harmonją)

do Ameryki Północnej. Jesteśmy zakontraktowani na występy w Stanach Zjednoczonych, w Meksyku, na Kubie i w Kanadzie.

— Tu się zaczyna trzeci akt karjery — zauważa ze śmiechem popularny ze swych piosenek Mieczysław Fogg.

— Karjera „amerykańska", jak możnaby ją nazwać — dodaję po chwili. — W tem miejscu muszę zapytać o pewien szczegół, który wydaje mi się wprost „pikantny". Oczywiście nie w znaczeniu erotycznem, lecz artystycznem. Stany Zjedn. są kolebką śpiewu jazzowego i ojczyzną rewellersów. Nie przypuszczam, aby impresarjo amerykański, który aż w Warszawie wyszukał panów i wiezie ich na drugą półkulę, nie liczył na... zarobienie przy tem paczki dolarów. Jakże się to dzieje zatem, że w Ameryce, która dała i daje wciąż takie wspaniałe wzory w tej dziedzinie, liczyć możecie na powodzenie?

— Wyjaśnię panu tę tajemnicę — mówi Dan. — Po pierwsze mamy swoją specjalność, której nie posiada żaden z chórów amerykańskich. Są to piosenki o podkładzie sentymentalnym, liryczne i nastrojowe: „Flisacy", „Co nam zostało z tych lat", „Smutno", „Przebrzmiała pieśń" i inne.

— Spośród czterech wymienionych piosenek, trzy są kompozycji Dana — wtrąca baryton.

— Impresarjo zapewnił nas, że temi właśnie nastrojowemi piosenkami weźmiemy publiczność amerykańską. W Ameryce słuchacz łaknie liryzmu, zwłaszcza tego naszego słowiańskiego, którego mu nikt z „tubylczych" wykonawców nie da. Drugim atutem, którym dysponuje organizator naszego amerykańskiego tourné, jest reklama. Występy zaczynamy w jesieni bieżącego roku, a już od pół roku ukazują się w pismach amerykańskich nasze fotografje. Radjo nadaje nagrane przez nas płyty, których impresarjo zabrał ze sobą kilkadziesiąt.

...Dwaj weseli tenorzy nie zostawili dla ponurego basa już ani jednej czekoladki. Pani Niusia i jej małżonek Dan-Daniłowski są w kłopocie. Trzeba ratować sytuację. Ale w jaki sposób?

Chyba zakończyć wywiad!

A szkoda. Miło rozmawia się z ludźmi, którzy swą rzetelną pracą zdobywają — w całem tego słowa znaczeniu — świat, szerząc przy tem daleko poza granicami kraju, sławę polskiej piosenki. *rb.*

I

Panie, o których mówi stolica.

Halina Konopacka-Matuszewska



P. Halina Konopacka-Matuszewska jest nietylko słynną sportsmenką, ale i jedną z pierwszych pań warszawskiego high-life'u.

W związku ze zbliżającemi się letniemi igrzyskami olimpijskiemi i naszemi nadziejami na zdobycie nowych laurów, robimy mimowoli przegląd tych zawodników, którzy naszemu sportowi przyczynili sławy i rozgłosu.

Na pierwsze miejsce wysuwa się p. Halina Konopacka, obecnie ministrowa Matuszewska, b. mistrzyni świata w rzucie dyskiem; dzięki niej bowiem po raz pierwszy sztandar Polski przy triumfalnym wtórze naszego hymnu narodowego wzniósł się zwycięsko na maszcie olimpijskim.

Było to w roku 1928 na Olimpjadzie w Amsterdamie. Pozatem dwukrotnie jeszcze zdobyła Halina Konopacka-Matuszewska mistrzostwo i rekord świata w rzucie dyskiem a mianowicie w r. 1926 na II światowych Igrzyskach Kobiet w Göteborgu i w roku 1930 na tychże samych III-ich Igrzyskach w Pradze. Utrzymuje zatem przez pełnych pięć lat, tj. aż do chwili swego ustąpienia z szeregów czynnych sportsmenek w r. 1931, mistrzostwo i rekord świata w rzucie dyskiem. Od tej pory, tj. od lat pięciu tylko dwie kobiety, jedna z nich Weissówna, rzuciły lepiej dyskiem.

P. Halina Konopacka nie ograniczała się jednakże w swych wyczynach sportowych do rzucania dyskiem. Uprawiała wszystkie niemal rodzaje sportu, tak, że prasa sportowa obdarzała ją stale zaszczytnym tytułem: „All round sportswomen" (wszechstronnie sportowa). Pisma zagraniczne podkreślały przytem przy każdej sposobności, że nasza rodaczka wodzi prym, jako piękna i efektowna kobieta wśród innych zawodniczek.

Taką też i nasza sławna mistrzyni pozostała. Nienagannie smukła i młodzieńczo urocza, prosta i ujmująca w obejściu, o jasnem, żywem spojrzeniu i szczerym, zdrowym uśmiechu.

Ale czy to możliwe, żeby wycofała się ze sportu wogóle? Czy uprawia sporty i jakie? Czy zarzuciła lekką atletykę? Jaki jest obecnie stosunek mistrzyni do sportu? Te wszystkie pytania nasunęły się przy sposobności miłej rozmowy z ministrową Haliną Matuszewską.

— Choć sportu nie uprawiam obecnie jako zawodniczka, jednakże go nie zaniechałam — objaśnia mnie uprzejmie min. Matuszewska. — W dalszym ciągu jestem jego gorącą wyznawczynią i propagatorką. Poza lekką atletyką pływam, gram w tenisa, jeżdżę na nartach. Uważam, że sport potrzebny jest dla zdrowia duszy i ciała na równi z powietrzem, słońcem i wodą. Odmładza, hartuje, daje olbrzymią dozę radości, zadowolenia i pewności siebie.

To też z całą gotowością przyjęłam powierzoną mi godność prezesa Towarzystwa Krzewienia Kultury fizycznej wśród kobiet, w oddziale warszawskim. Na tem polu dużo, bardzo dużo należy jeszcze zdziałać u nas. Jesteśmy znacznie w tyle za innymi. Brak przedewszystkiem zrozumienia dobrodziejstwa sportu wśród ogółu kobiet.

Zwłaszcza tem się bardzo interesuję. Biorę udział w różnych zjazdach, imprezach, byłam na zimowej Olimpjadzie w Garmisch i jadę w lecie na Olimpjadę do Berlina. Naturalnie tylko jako widz, z boisk wycofałam się już raz na zawsze!

— A proszę mi jeszcze powiedzieć — ryzykuję pytanie — czy tak od czasu do czasu rzuca pani ministrowa jeszcze dyskiem?

— Naturalnie — odpowiada mi z miłym uśmiechem moja rozmówczyni. — Lekką atletykę uważam za królowę sportu! A dyskiem rzucam, choćby dla wskrzeszenia tej niezapomnianej chwili mojego zwycięstwa na Olimpjadzie. Było to dla mnie chyba największe przeżycie. Złoty medal, który wówczas zdobyłam, stanowi dla mnie najmilszą i najcenniejszą pamiątkę.

Zofja Ordyńska.



Jako tenisistka...



Jako narciarka...



Jako dyskobolka...



W rzucie oszczepem...



W biegu przez płotki...

KLUCZE

NOWELA

W. J. TURZAŃSKI ILUSTR. J. BICKELS

Komisarz milicji, Maksym Maksymowicz Orleńko, kręcił w rękach grubego papierosa. Była godzina 6-ta rano. Za oknami falował głęboki zmrok. Wicher, który około północy ustał nieco, teraz właśnie obudził się ponownie i począł dąć. Pęd wichru był niesamowity i Orleńko zdawał sobie z tego sprawę. Jako były feldwebel carskiej armji, a poza tem człowiek w rzeczy samej uczciwy i ludzki, komisarz pełen był tych wszystkich głosów, które młódź z komsomołu określała jako „burżuazyjne przesądy". Orleńko miewał przedewszystkiem skrupuły i wątpliwości. Były chwile, w których się wahał. Bywało — stukał w palce lub kładł pasjanse. Czasami gadał ze sobą głośno. Miewał godziny nagłej dobroci, ale bywały też momenty chandry i dłuższe okresy złego humoru.

Podczas rewolucji Orleńko otrzymał postrzał w głowę i od tego czasu bał się. Bał się podwójnie: raz lękał się, ażeby nie wykryto, że w ośmnastym roku był białogwardzistą, a powtóre bał się bezsenności. Cierpiał na początki schizofrenji i bezsenność depresyjną. Potrafił leżeć w nocy z otwartemi, jak zając oczyma i myśleć. Bóg wie, o czem myślał. Wsłuchiwał się w ćwierkanie świerszcza, ukrytego w ciepłej szparze bielonego pieca, w suchy tykot zegara z wagami i w szum zadymki, mielącej śnieg na żarnach wichru. A sen, ów upragniony i wyczekiwany sen nie przychodził.

Tej nocy było podobnie. Orleńko zdrzemnął się około pierwszej po północy, ale był to sen połowiczny, płytki w swoim zasięgu i niedocierający do głębi jego świadomości. Była godzina piąta rano, kiedy komisarz znienacka siadł na łóżku. Moment obudzenia się był tak bezpostaciowy, że kierownik milicji w Ufie, ubierając się, nie był pewien, czy spał, czy też może zupełnie tej nocy nie spał. To samo niepokojące pytanie dręczyło go, kiedy rąbał drzewo i kiedy napalił wreszcie pod piecem.

„Spał ja — czy może nie spał?" — pytał się sam siebie Orleńko i dmuchał w piec. Wtedy wybiła szósta rano. Głos zegara był jakiś zachrypły. Równocześnie Orleńko usłyszał daleki i przeciągły tętent zmieszany z szumem wichru. Krokwie w dachu, napierane masą powietrza, poczęły niesamowicie trzeszczeć, a płomień na ruszcie paleniska skurczył się i zmalał. W tej samej chwili zapukał ktoś do drzwi. Pukanie było jakieś znajome, nieomal kobiece i Orleńko pewien był, że to puka posługaczka Olga. Odpowiedział — „wejść!" i dmuchnął w piec. Drzwi się otwarły. Do pokoju weszła jakaś postać kobieca z długą siwą brodą. Orleńko zerknął okiem w stronę domniemanej Olgi i momentalnie zmartwiał. Zerknął okiem po raz wtóry, ale postać stała, jak byk. Była to wiejska baba o imponującym zaroście pustelnika i barach, godnych kanoniera. Z brodatego oblicza wwiercały się w komisarza czarne, jak węgiel, oczy Rasputina. Orleńko pobladł i uczuł, że serce mu zamiera. Przez zrozpaczoną jego głowę przegalopował cały tabun dzikich i desperackich pomysłów. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że stoi przed nim szatan i że za chwilę stanie się coś strasznego.

A właściwie sprawa przedstawiała się tak:

Jeszcze zeszłego dnia wieczorem do mieszkania popa Kacapina, mieszkającego w Krasnopolu koło Ufy, zakradli się bandyci. Po sterroryzowaniu domowników, napastnicy przystąpili do rabunku. Pop Kacapin spał twardym jak krzemień snem i śniło mu się, że oparty piersiami o sztachety swego ogródka rwie kwiaty, kiedy jeden z drążków oderwał się od płotu i urągając prawom grawitacji i ciążenia, spoczął jednym swoim ostrym końcem na odsłoniętej jego piersi. Dotknięcie tej żerdzi było chłodne jak ukłucie pijawki. Kacapin zbudził się, otworzył oczy i ujrzał przed sobą lufę karabinu. Jakiś mocny głos rzekł:

— Ręce do góry!

Kacapin uniósł ręce machinalnie wgórę, siadł na łóżku i w jednej chwili oprzytomniał.

Bandytów było dwu, twarze mieli zasmarowane sadzą i obaj byli uzbrojeni w broń palną. Brutalne i bez ceremonji żądali pieniędzy. Napadnięty duszpasterz zdał sobie sprawę, że jeżeli do 10 sekund pieniędzy nie da, to wtedy on i jego rodzina legną podziurawieni kulami.

Stwierdziwszy to, Kacapin wstał i poszedł do komody, która była równocześnie kasą jego parafji. Wydobył stamtąd gruby plik czerwońców i udając zdenerwowanie, rozsypał je po podłodze. Śliskie, niebiesko-czerwone banknoty opadły jak deszcz liści. Obaj bandyci schylili się i zaczęli je zbierać. Ale w tej samej chwili Kacapin, człowiek dużej siły fizycznej i rzadkiej przytomności umysłu, porwał ciężkie dębowe krzesło i natarł na zajętych zbieraniem pieniędzy zgóry.

Jeden szybki i celny cios trafił odrazu w dwie głowy i rozciągnął obu opryszków na ziemi. Następnie Kacapin przy pomocy syna rozbroił bandytów i związał ich powrozami. Związanych zaniesiono do spichrza, który został następnie zamknięty. Potem niespodziewanem zwycięstwie pop Kacapin poczuł dreszcze, stwierdził, że jest ubrany tylko w koszulę, stanął bosą nogą na czemś twardem, schylił się, podniósł ze ziemi pęk kluczy i trzymając te klucze w ręku stwierdził, że są one nieco cięższe niż zwykle i równocześnie nerwy odmówiły mu posłuszeństwa, a oczy napełniły się łzami.

Jeden z bandytów ocknął się i począł ryczeć jak wół pod nożem rzeźnika. — Na dworze panowała ciemna i wietrzna noc. Jeszcze ciemniej było w pokoju, w którym ubierał się duchowny. Ubieranie szło mu niesporo. Ręce mu się trzęsły, a poszczególne części garderoby splątały się ze sobą w jakiś dziwny i trudny do rozpoznania labirynt. — Wkońcu ojciec Kacapin ubrał się, zaprzągł konie do sań i otuliwszy się baranicą, zagłębił się w burzliwy i tajemniczy zmrok, kierując się w stronę Ufy.

Była godzina czwarta nad ranem i czarna azjatycka noc panowała niepodzielnie nad światem, kiedy duszpasterz zajechał pod bramę posterunku policji. Okna budynku były zgaszone i do połowy zasypane śniegiem. Wewnątrz była zupełna cisza. Pop Kacapin zaczął pukać, a następnie walić pięściami w drzwi. Dom milczał jednak jak grobowiec. Wtedy ojciec Kacapin popadł w kułacką pasję i począł kopać podkutym obcasem bramę. Dom rezonował jak bęben dżesbendzisty. Hałas napełnił wąskie i śpiące uliczki aż po strychy. Zbudzone stukotem psy po-



Była godzina 5-ta rano, kiedy komisarz znienacka siadł na łóżku...

częły szczekać. Wreszcie w jakiemś oknie naprzeciwko zapaliło się światło. Po kwadransie na tle śniegu i nocy zamajaczyła ciemniejsza od tła postać i gruby, jak gdyby wypożyczony na tę chwilę jej głos zapytał:

— Czego chcecie, towarzyszu?

— Czy tu jest komisarjat ludowej milicji? — zapytał zkolei Kacapin.

— Tak, tu właśnie jest komisarjat.

— A czy w komisarjacie niema nikogo?

— Tak! Niema tam teraz nikogo — odparła postać i zaczęła szczękać zębami.

„Czego ten człowiek szczęka zębami" pomyślał Kacapin, podszedł bliżej i zapytał równocześnie:

— A gdzie mieszkają milicjanci? — Gdzie mieszka ich kierownik? Przyjeżdżam w bardzo pilnej sprawie. Muszę się natychmiast zobaczyć z komisarzem!

Ojciec Kacapin powiedział te słowa głośno i pośpiesznie w kierunku postaci, która w dziwny sposób znikała. Równocześne powiał wiatr i zaniosło śniegiem. Duszpasterz wytężył oczy, ale człowiek, który z nim rozmawiał był teraz naprawdę nieobecny...

Rozwiał się jak mgła, lub wciekł w śnieg jak oliwa. Kacapin przeżegnał się i splunął od uroku. Kiedy tak stał bezradny na kamiennym ganku posterunku policji, usłyszał parskanie swoich własnych koni i dojrzał czerwony refleks pełznący po śniegu.

Nikła postać zjawiła się ponownie w atmosferze zadymki i w nimbie własnego, tajemniczego światła. Postać ta podeszła bliżej i Kacapin, drżąc z lęku i zimna, rozpoznał, że jest to zaspany chłop, trzymający w rękach czerwoną latarnię.

W rzeczy samej do lokalu komisarjatu milicji nie można się było dostać. — Drzwi były zamknięte na kłódkę. Milicjanci spali zapewne na kwaterach w domu. Być może, że klucz miał komisarz Orleńko. I chłop z latarnią radzi, ażeby — jeżeli spraw jest pilna — pójść natychmiast do domu Orleńki i jemu o wszystkiem zameldować. Chłop z latarnią zgodził się być przewodnikiem i obaj siedli na sanie. W międzyczasie zadymka jeszcze bardziej się wzmogła. Powietrze przesycone śniegiem było lepkie i ciężkie od pędu. Punktualnie o godzinie szóstej rano pop Kacapin wszedł do mieszkania urzędnika policji. W sieniach poczuł charakterystyczny swojski, swąd, sygnalizujący palenie w piecach. Duchowny zapukał do drzwi i usłyszał wspomniane już słowo: „wejść!" Wszedł do izby i ujrzał Orleńkę klęczącego przy piecu.

„Po raz pierwszy widzę babę z taką siwą brodą" — myślał Orleńko, który przyszedł nieco do siebie i gotów był się zgodzić, że stoi przed nim nie upiór, ale brodata wiedźma. Myśląc tak, wstał z klęczek ,odwrócił się w stronę zjawy w spodnicy i omal nie krzyknął z przerażenia po raz wtóry. Długa, siwa broda, była teraz znacznie krótszą i w dodatku stała się czarną, tak czarną jak smoła.

„Tu jest coś nie w porządku" — myślał w tej chwili pop i z przerażeniem patrzył na przerażonego komisarza. — Stali tak kilka chwil w milczeniu i wtedy duchowny poczuł na piersiach wilgoć. Broda jego, która skutkiem mrozu i zadymki napęczniała i pobielała od śniegu, w ciepłej atmosferze Izby poczęła szybko odtajać, a wilgoć kroplami spływała mu po piersi i brzuchu.

Pop spojrzał na mokry brzuch i nagle zmartwiał. Oto ubrany był nie jakby się należało spodziewać w sutannę, ale w fałdzistą i kolorową spodnicę. — W jednej chwili zrozumiał wszystko. Ubierając się w domu był zapewne tak zdenerwowany przejściem z bandytami, że w roztargnieniu, a przytem pociemku wdział na siebie szlafrok swej żony. Zrozumiał teraz przerażenie nadkomisarza i równocześnie uczuł coś w rodzaju wstydu i zażenowania. Kiedy w godzinę później komisarz Maksym Maksymowicz Orleńko i pop Kacapin wychodzili z domu, kierując się w stronę komisarjatu milicji, garderoba duchownego była już uzupełniona i poprawiona. Orleńko szedł przodem, krok jego był nerwowy, a jestestwo pełne było hamowanej złości i pasji.

Oto zostawił na nocną służbę dwu milicjantów, Fiedora i Tymofieja, a tymczasem na posterunku nie było nikogo. Było to jawne sabotowanie służby i prowokacja. On, komisarz Orleńko, pokaże tym psubratom, co znaczy subordynacja. Właściwie to należy obu wytłuc po mordzie. Przecież to niesłychana historja. Zamknęli posterunek i poprostu poszli sobie do wszystkich djabłów. A tu jak na złość taka historja z bandyckim napadem. Co za skandal, co za kompromitacja. I dokąd oni mogli pójść?

To samo pytanie nurtowało umysł popa Kacapina. Obaj z komisarzem byli już w prywatnych mieszkaniach milicjantów, gdzie powiedziano im, że Fiedor i Tymofiej poszli na służbę.

Tymczasem zaczęło szarzeć, kiedy pop i komisarz doszli do gmachu posterunku. Drzwi były w dalszym ciągu zamknięte. Na widok ogromnej pękatej kłódki wiszącej na drzwiach, komisarz Orleńko przypomniał sobie głupkowatą gębę Fiedora i wtedy pasja jego osiągnęła maksimum swojej wewnętrznej prężności, ażeby wybuchnąć wreszcie nazewnątrz potokiem fantastycznych przekleństw.

Zawołał on chłopa, który zgasił w międzyczasie latarnię, kazał mu przynieść siekierę i rąbnął jej ostrym brzeszczotem z całych sił w masywne żelazo kłódki.

Na widok podskakującej pod ciosami siekiery, a ciągle jeszcze całej zapory, Kacapin przypomniał sobie, że ma w kieszeni klucze — te klucze, które jak swoje podniósł ze ziemi po odparciu napadu bandytów. Już wtedy zauważył mimochodem, że jeden z kluczy jest coś zbyt duży i że wyrasta on obco z całego pęku, podobnie jak szósty palec u znajomej ręki. Kacapin nagłem olśnieniem, jakimś genjalnem i godnem Sherloka Holmesa skojarzeniem zrozumiał coś, sięgnął ręką do kieszeni i dobył wspomniany pęk kluczy nazewnątrz. — W brzasku zimowego poranka stwierdził, że pęk kluczy istotnie nie jest jego własnością. Równocześnie ów szósty, duży klucz wszedł zupełnie gładko w zamek porysowanej kłódki, której masywny mechanizm zgrzytnął lekko i kłódka otwarła się.

— Skąd wy macie te klucze? — krzyknął nagle Orleńko, który się jeszcze niczego nie domyślał.

— Zabrałem je bandytom — odparł słodko pop i cofnął się przezornie w tył. A obaj z komisarzem myśleli już o jednem i temsamem. Mianowicie o milicjantach Fiedorze i Tymofieju, którzy powiązani w kij leżeli teraz jak barany i czekali na swoje smutne losy w spichrzu u popa Kacapina.

—o—



Bandytów było dwóch. Twarze mieli zasmarowane i obaj byli uzbrojeni w broń palną..

EL RASTRO



Dziecko przekupki czeka spokojnie powrotu matki z sąsiedzkiej pogawędki.

„Rastro" jest dla Madrytu tem, czem jest dla Paryża „targ pcheł" — „marché aux puces", a zatem targiem, na którym można kupić wszystko, nie płacąc prawie nic. Ale Rastro madryckie jest czemś więcej jeszcze.

Każdy obcy zwiedza w Paryżu „marchée aux puces", ale Francuzi udają się tam tylko w razie potrzeby, wtedy, gdy ich na zakup potrzebnych sprzętów, ubrania i t. d. gdzieindziej nie stać, albo gdy szukają czegoś szczególnego. Stąd utylitarny charakter „marchée aux puces", pomimo jego folklorystycznego zabarwienia, polegającego na różnorodności przedmiotów i wielorakości kupujących.

Inaczej rzecz się ma na madryckim Rastro. Tłum, który zalewa ulice, na których znajduje się targ, nie jest to tłum, nastawiony na kupno, na wytargowanie, skorzystanie, słowem zysk. Może dlatego zresztą, że Rastro jest bliżej ośrodka miasta, niż „marchée aux puces", Hiszpanie udają się na Rastro spacerkiem, idą tam, aby spędzić parę godzin, ot, popatrzeć sobie! Głęboko w Hiszpanach tkwiące upodobanie dla wszystkiego, co jest widowiskiem, co jest barwne, hałaśliwe i tchnie życiem, znajduje wyraz i w wędrówkach na bezpłatne wystawy, do tanich bazarów, na wszelkiego rodzaju jarmarki i targi. Po załatwieniu się z pracą, która przeważnie zajmuje bardzo mało czasu, Hiszpan stara się przeważnie o jedno jedyne, jakby tu w przyjemny sposób zabić czas. Ponieważ najczęściej nie jest pod tym względem wymagający i nie posiada pieniędzy, więc szuka bezpłatnych zabaw, przyczem wszystko go bawi, każde zbiegowisko, najmniejsze zajście uliczne. Cóż dopiero gdy obecne są kobiety! Południowy temperament powoduje, że Hiszpanie stale szukają okazji zbliżenia się do kobiet, a przynajmniej oglądania ich. Rastro jest więc dla madryckiego tłumu promenadą, na której obok widoku bardzo różnorodnych i nieraz barwnych przedmiotów, można zamienić też spojrzenie lub słówko z niejedną ładną osobą. To też, zwłaszcza w niedzielę, lub po prostu w słoneczne dnie, na Rastro panuje niebywały ścisk. Jest to ścisk bezcelowy, beztroski, radosny. Na twarzach tłoczących się ludzi nie widać napięcia, połączonego z zadaniem znalezienia najtańszej okazji. Przeciwnie, ten, kto przyszedł tu rzeczywiście po zakupy, kto szuka i dopytuje się, jest intruzem. Nawet sami sprzedający nie bardzo dbają o handel. Dla nich rozrywką jest ten tłum, przybywający z różnych dzielnic Madrytu, jakby z różnych stron świata. Jeżeli coś utargują — dobrze, jeżeli nie „sera otro dia". (Stani się to innego dnia).



Zakątek madryckiego Rastro, w którym sprzedają stare samochody i wszelkiego rodzaju żelaziwa.

Nie brak też na Rastro specjalnych rozrywek, które na chwilę pochłaniają uwagę wszystkich, zarówno spacerujących, jak i sprzedających. Oto matka jakaś posadziła na chwileczkę dziecko swe na stosie kołder wystawionych na sprzedaż, pozostawiła mu swą torebkę i znikła, bo tam gdzieś, o kilka kroków dalej, zobaczyła jakąś kumoszkę, tłum uniósł ją dalej niż chciała, a bobo siedzi sobie cichutko, bawi się torbą i jest tak samo beztroskie, jak i jego matka.

Najciszej jest w uliczce, gdzie w kilku antykwarniach sprzedają „starożytności". Tłum madrycki zbyt jest realistycznie usposobiony, nie rozumie, czemu za te kawałki starego materjału, lub wyblakłe sztychy, żądają tyle pieniędzy, woli też tu wcale nie zaglądać. To też uliczka pozostaje dla snobów, cudzoziemców, bogaczów. Ale i „stara Ameryka" nie ma powodzenia; jest to placyk, na którym sprzedają tylko same połamane graty i stare rupiecie, więc niema się tu czemu przyglądać. Co innego wystawione na sprzedaż srebrne przedmioty, lichtarze, łyżki, barwne dywany i chusty, meble, kapelusze. — „Kupić, nie kupić, potargować można". Tutaj właśnie można spotkać dużo dziewcząt i niewiast, jakkolwiek, jak zwykle w Madrycie, większość tłumu stanowią mężczyźni... Tłum na Rastro nie wiele się różni od tłumu wszelkich „verben", „ferji" i „romerji" (uroczystych, świątecznych targów, połączonych z tańcami i zabawą). Obok poważnego ojca rodziny, wędruje wyrostek, obok bezrobotnego sam pan guardia civil (policjant) i to nie w charakterze służbowym, ale zupełnie prywatnym.

Cudzoziemcy na Rastro, jak na „marché aux puces", szukają prawdziwych Goyów lub Velasquezów, i opowiadają spotykając znajomych, że właśnie onegdaj przyjaciel ich znalazł, bodaj czy nie pierwsze wydanie Don Kichota. Kończy się jednak ich wędrówka zwykle na tem, że kupują za kilka peset jakiś połamany, bezbarwny sprzęt, który w domu przemalowują na istne cudo modernizmu. Jeżeli zaś przy tej okazji wyciągną im portfel lub portmonetkę, to, nie bacząc na promienne i radosne wrażenie z Rastro, ponuro wymyślają na „tych złodziei Hiszpanów", zapominając, że złodzieje, to prawie jedyni trzeźwo myślący obywatele tego beztroskiego kraju, na Rastro, w codziennem życiu i w polityce.

Zofja Kramsztyk (Madryt).

Niedomagania rozmów towarzyskich

Najczęściej poruszanym tematem rozmów towarzyskich jest zwyczaj „mówienia za wiele". Mimo to, jeżeli zbierze się razem pięć osób, zawsze jedna z nich będzie mistrzem niepotrzebnego gadulstwa. Nikt nie dorówna jednak w podtrzymywaniu rozmowy pewnemu rozsądnemu, poważnemu panu, który znajdzie się w każdem towarzystwie. Zaczyna on z rozwagą i namysłem — robi długi wstęp — rozprasza się w drobiazgach — przypomina sobie nagle jakąś inną historję — przyrzeka ją opowiedzieć, kiedy tę pierwszą skończy — wraca znowu do poprzedniego tematu — nie może sobie przypomnieć nazwiska danej osoby — chwyta się za głowę i wyrzeka na swoją pamięć — podczas gdy całe towarzystwo drży w męczącem oczekiwaniu, wreszcie powiada, że to jest właściwie wszystko jedno. Aby już koroną uwieńczyć dzieło, okazuje się zwykle, że wszyscy słyszeli już tę historję jakieś 50 razy.

Najbardziej ulubionym tematem naszych rozmów jest opowiadanie o sobie samym. Niektórzy dają zaraz bez osłonek najdokładniejszy zarys biograficzny swojej osoby, powiadamiają szczegółowo o przebytych chorobach, z wyliczeniem symptomatów i poszczególnych stanów, albo też z dumą wyliczają wszystkie przeszkody, jakie zdołali przezwyciężyć w życiu politycznem, miłości i sprawach pieniężnych. Inni czyhają ustawicznie na pochwały — przytrzymują za klapy surduta i przypominają że przed laty jeszcze prorokowali, że tak się ułożą wszystkie okoliczności człowieka z którym rozmawiają. Już od początku twierdzili, że tak będzie, ale on nie chciał naturalnie słuchać. Inni z dumą opowiadają o swoich błędach. To są najrzadsze okazy na świecie. Nie mogą milczeć — oni przyznają, że jest to rodzaj manji — wiele dobrych momentów wymknęło im się przez to z ręki. Ale kosztem wszystkich bogactw świata nie mogą opanować tego nawyku. Ich usposobienie sprzeciwia się zakłamaniu.

Często można spostrzec następującą sytuację: schodzi się razem pewne towarzystwo i dwie osoby odkrywają przypadkowo, że byli w tej samej uczelni — no, wtedy to już jest koniec jakiejkolwiek interesującej ogół rozmowy. Wszyscy pozostali skazani są na milczenie i przysłuchiwanie się, jak ci dwaj odświeżają wzajemnie swoje wspomnienia, które dla nich były bezsprzecznie ciekawe. Znam pewnego wysoko postawionego oficera, który zawsze przez pewien okres czasu przysłuchuje się w niecierpliwem milczeniu, pełen gniewu i pogardy dla przemawiającego w danym momencie. W końcu, niespodzianie domagając się posłuchu, rozstrzyga daną sprawę w sposób dogmatyczny i bezwzględny... Potem zamyka się znowu w sobie i tak długo nic nie mówi, póki jego władze umysłowe nie osiągną tego wybuchowego punktu.

Są pewne przykre cechy rozmów towarzyskich, którym najbardziej ulegają t. zw. dowcipni ludzie, szczególnie kiedy się przypadkowo spotkają. Jeżeli otworzą usta i nie udało im się powiedzieć coś wesołego, są to dla nich stracone chwile. Jest to męczące równie dla nich jak i dla słuchaczy, którzy spostrzegają ich bezustanne wysiłki. Oni muszą opowiedzieć coś nadzwyczajnego, muszą utrzymać charakter upragnionych gości, aby nie rozczarować reszty zgromadzonych i aby — broń Boże — nie traktować ich jako zwykłych śmiertelników. Widziałem raz, jak dwóch takich dowcipnisiów „naciągało się" wzajemnie, aby rozbawić towarzystwo; robili radosne miny i kosztem osobistych złośliwości starali się szerzyć wesołość.

Ironja, szyderstwo to najdelikatniejszy kwiat rozmowy, jeżeli jednak wszystko, nawet to, co jest nam drogiem, chcemy wyśmiać i karykaturować — przestaje to być zabawnem. Dziś — dobry dowcip, to zapędzić towarzysza rozmowy w kozi róg, wyprowadzić z równowagi i uczynić śmiesznem. Przytem należy do świętych obowiązków towarzyskich zachować spokój i nie gniewać się, gdyż możnaby pomyśleć, że nie rozumie się na żartach. W tym kunszcie istnieją prawdziwi wirtuozowie, którzy wybierają słabego przeciwnika. Rozśmieszone otoczenie przeciągają niewybrednemi argumentami na swoją stronę i starają się najzupełniej poniżyć towarzysza rozmowy. — Francuska „raillerie" o wiele więcej oznacza. Najpierw jest to zarzut — który jednak przez dowcipny zwrot staje się komplementem dla przeciwnika.

Jest wiele ludzi dobrze wychowanych, którzy coprawda nie przerywają mówiącemu, ale zato zachowują się jeszcze gorzej, Czyhają tylko na chwilę, w której przestaniesz mówić, ponieważ chwycili się kurczowo jakiejś myśli. W międzyczasie stają się głusi i ślepi, ponieważ fantazja ich jest najzupełniej skupiona na tem pojęciu, które mają w zapasie, z obawy, że mogłoby im się wymknąć z pamięci. W ten sposób oddalają się od toku rozmowy i omijają sto innych, równie dobrych pomysłów, które z biegu rozmowy mogli pochwycić.

Istnieje pewien rodzaj wulgarnej poufałości, którą wprowadzają pewni ludzie, mniemając przytem, że jest to tylko niewinna swoboda i humor. Jest to niebezpieczny eksperyment w naszym północnym klimacie, gdzie i tak, niewiele istniejącej wytworności i dobrych form, uzyskuje się tylko dużym wysiłkiem. W każdej chwili łatwo mogą one zmienić się w czyhające grubjaństwo.

Istnieją ludzie o wybitnym talencie opowiadania, z doskonałym zasobem przeróżnych historyj. Są oni gotowi zawsze i wszędzie rozłożyć ten kramik — przy ciasnym kręgu zainteresowań i tematów rozmowy, talent ten staje się bardzo pomocnym. Cierpią oni jednak stale na dwie nieuniknione choroby: szybkie wyczerpanie i siłą faktu powtarzanie. Aby ich uniknąć, musi ów osobnik o zdolności opowiadania mieć świetną pamięć i często zmieniać koło znajomych — inaczej zdradza swą niedoskonałość. Naogół bowiem stały kapitał opowiadań wyczerpuje się zbyt szybko, a nowe zdobywa się z pewnym trudem.

Nasi znani wielcy mówcy są rzadko tylko towarzyskimi ludźmi, ale zdolność mówienia — to może brzmi paradoksalnie — idzie zwykle w parze z bezpłodnością myśli. Tego rodzaju ludzie mają na każdy temat poruszony urobione już zgóry pojęcia i cykl zdań, któremi je wyrażają. Pływają na powierzchni wszystkiego falami słów, nie starając się dotrzeć do głębi. W przeciwieństwie do tego, ludzie głęboko myślący, którzy zdają sobie sprawę z bogactwa mowy, mimo niepozornych wystąpień, potrafią dać ciekawe, nowe oświetlenie w każdej dziedzinie życia. Przytłacza ich jednak możliwość poruszenia najróżnorodniejszych tematów, oryginalnych poglądów, ujęcia — nie wiedzą najczęściej, które z nich wybrać i milczą. Lecz to nie jest wadą prywatnych rozmów. Nieznośne poprostu jest niepohamowane gadulstwo człowieka, przekonanego najgłębiej o doniosłości wypowiadanych przez niego słów.

Nic bardziej nie szkodzi rozmowie, jak charakter znanych z dowcipu ludzi. Aby utrzymać tę opinję, nie zaniedbują nigdy sposobności otoczenia się orszakiem towarzyszy, przyczem obie strony otrzymują swoją dawkę zadowolenia. Wnosi to atmosferę takiej wyższości, przedstawia innych w tak niekorzystnem świetle, że żaden z tych dwóch nie może być nigdzie chętnie widziany.

Są ludzie, którzy sądzą, że towarzyskim zaletom czynią zadość, jeżeli referują skromne, codzienne przeżycia z całego dnia. To zauważyłem szczególnie u Szkotów, którzy z najwyższą troskliwością starają się o nieopuszczenie najmniejszego szczegółu o czasie i miejscu, każdego błahego zdarzenia. Gdyby nie było to cokolwiek osłodzone przez szczególne określenia, akcentowanie i gestykulację, które im są właściwe, ten rodzaj rozmowy byłby nie do zniesienia.

* * *

Po dokładnem zbadaniu okazało się, że manuskrypt „Niedomagań rozmów" liczy przeszło 200 lat i pochodzi od Jonathana Swifta. **tłum. Janina Ormińska.**

PRZYJACIELSKA USŁUGA... →



SENSACJE PRZESZŁOŚCI



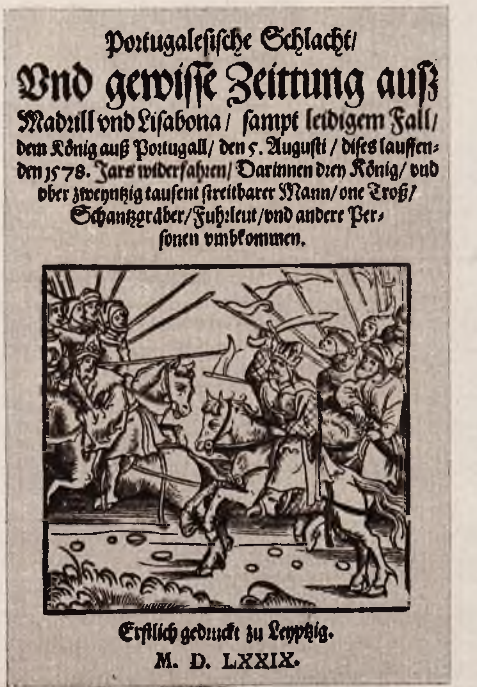
Oto jak wyglądały najstarsze drukarnie.

Od tysięcy lat istnieje u człowieka głód wiadomości, zwłaszcza sensacyjnych, który ujania się między innemi skłonnością do wyolbrzymiania faktów i improwizowaniem sensacyj. Nie otrzymując odpowiedniego pokarmu zzewnątrz, człowiek tworzy go sobie sam. Powiedzenie „fama crescit eundo" jest prawdą zarówno dziś jak było nią tysiące lat temu. — Z tych też powodów nawet przeciętny człowiek jest niejako „urodzonym" dziennikarzem, a raczej „fabrykantem kaczek dziennikarskich! Każdy z nas, opowiadając pewne zdarzenie i koloryzując je, współdziała w tworzeniu „żywej gazety", która posiada tyle egzemplarzy nakładu, ile osób powtórzy nasze słowa. Takimi „żywemi dziennikami" w całem tego słowa znaczeniu byli w średniowieczu kupcy, grajkowie, cyrkowcy lub wędrowni braciszkowie klasztorni, przyjmowani gościnnie na dworach możnych panów i w miastach, gdyż byli przecież źródłem nowych wiadomości. To była pierwsza gazeta, nieraz jedyne źródło, z którego ówcześni ludzie czerpali swą orjentację.

Oczywiście, że w pierwszym rzędzie kupcy zainteresowani byli w posiadaniu pewnych wiadomości o różnych dalekich krajach, gdyż zależnie od nich ustosunkowywali się w swych transakcjach. Wielkie domy kupieckie, posiadające swoich faktorów po całym świecie, otrzymywały też od nich relacje o różnych zdarzeniach, jedyne naówczas, pisane zresztą, dzienniki. Tak n. p. potężni kupcy Fuggerowie utrzymywali ze swymi wysłannikami stały kontakt pisemny, gromadzili w swem archiwum w Augsburgu pliki różnych „reportaży", jakbyśmy to dziś nazwali, drobnych notatek, informacyj.

Otrzymywane notatki przepisywano w biurach fuggerowskich i odsprzedawano dalej jako „Ordinari-Zeitungen", za 4 centy, abonament zaś roczny wynosił podobno z odniesieniem do domu 25 guldenów rocznie. Zwłaszcza w owym czasie, t. j. przy końcu XVI w. kupiectwo europejskie wzięło wielki rozpęd przez zdobycie Ameryki, i musiało się szczegółowo orjentować w stosunkach tych nowych krain. Wielkie zasługi dla rozpowszechnienia i zgromadzenia tych wiadomości położył szef domu Fuggerów, Filip Edward hr. Fugger, zmarły 1618 r.

Dodać należy, że pierwsze dzienniki w naszem dzisiejszem pojęciu zaczęły wychodzić (zresztą bardzo nieregularnie) w XVII wieku. Zapoczątkowany „serwis" dziennikarski wciągnął w orbitę zainteresowania coraz szersze jednak sfery. Kilka lat temu odszukano te nadwyraz ciekawe notatki i reportaże, przesyłane do centrali Fuggerów w Augsburgu, a znajdujące się w narodowej bibljotece państwowej w Monachjum i stwierdzono, jak wiele jest bogactwo tych wiadomości, jeżeli znajdujemy tam aż 516 artykułów o zjawiskach meteorologicznych, poza setkami innych. Cedułki giełdowe, opis różnych wydarzeń politycznych, nieraz plotki o wielkich osobistościach i wiele inn., znajdujemy w notatkach.



Portugalesische Schlacht/
Vnd gewisse Zeittung auß
Madrill vnd Lisabona / sampt leidigem Fall/
dem König auß Portugall/ den 5. Augusti / dises lauffen-
den 1578. Jars widerfahren/ Darinnen drey König/ vnd
ober zweyntzig tausent streitbarer Mann/ one Troß/
Schantzgräber/Fuhrleut/vnd andere Per-
sonen vmbkommen.

Erstlich gedruckt zu Leyptzig.
M. D. LXXIX.

Ulotka wydana w r. 1579 z okazji śmierci króla Sebastjana portugalskiego.

Zobaczmyż co dla publiczności XVI w. stanowiło sensację, czem się przejmowała i co czytała z zapartym oddechem? Oto większość tych wiadomości odnosi się do wydarzeń zaszłych w domach panujących, z szczegółowem opisaniem różnych uroczystości rodzinnych, ślubów, zgonów i t. d. Małżeństwo arcyksięcia Ferdynanda z ks. mantuańską (1582), opisane jest z wielką dokładnością: ludzie współcześni lubowali się w ceremonjale dworskim. Ścięcie królowej Marji Stuart stanowiło nadwyraz „wdzięczny" temat, nic też dziwnego, że poświęcono temu opisowi kilka stron. Dowiadujemy się, że przed egzekucją królowa wypowiedziała 70. psalm, zaczynający się słowami: „In te, Domine speravi", poczem kładąc głowę na pniu egzekucyjnym, zakończyła „In manus tuas, Domine, commendo spiritum meum". Z dworu wiedeńskiego donosi korespondent fuggerowski o zamachu na króla Maksymiljana, którego zapomocą trucizny chciał dokonać pewien Polak. Ciekawem jest, że ów „król" Maksymiljan jest nikim innym, tylko arcyksięciem, którego Jan Zamojski pobił pod Byczyną, a który bezprawnie używał tytułu króla polskiego. Bardzo dużo uwagi poświęcają ówcześni korespondenci wszelkim czarownicom, cudotwórcom i podobnym niezwykłym postaciom lub zdarzeniom. Opis autodafé w Sewilli wyszczególnia 37 skazanych za różne przewinienia przeciwko moralności lub zasadom religji. Pod datą 1587 roku podają szczegóły o skazaniu czarownicy Walpurgi Haumann, której „udowodniono" utrzymywanie bliskich stosunków z szatanem. W tymże roku korespondent doniósł o ciekawym wypadku stygmatyzmu pewnej mniszki w Lizbonie, którą poddano dokładnym badaniom. Ale spotykamy się też z postacią pewnego twórcy złota, którego przejścia żywo przypominają to, co donosiły pisma o Dunikowskim. Bragadini dolewał do płynu składającego się z 10 uncyji ołowiu, kroplę pewnej cieczy, która ołów zamieniała na czyste złoto. Znany na dworach ówczesnych książąt, przebywał on ostatnio w Valcamonica i ku wielkiemu zdumieniu ówczesnych ludzi, dokonywał swych alchemicznych doświadczeń. Ale spotykamy się też z wieloma politycznemi wiadomościami, które nieraz bardzo plastycznie nas informują o wielkich ówczesnych zdarzeniach. Oto mamy przed oczami opis historycznej bitwy pod Lepanto, w której, jak wiadomo, flota chrześcijańska odniosła nad Turkami decydu-



Ścięcie w r. 1568 hr. Egmonta i Horna w Brukseli, według współczesnego sztychu Hogenberga.



IX.

Abbildung etlicher Vögel vnd Fische/so den Schiffen vnter Wegens in Indien auffstossen.

Die Schiffen/ so in Indien reysen/ pflegen mancherley seltzame Vögel auffzustossen/ als nemlich die Vögel Garayos, welche so groß seynd wie ein Hänne. Item die Vögel Rabos de Iuncos welche ein langen schmalen Schwantz haben/ vñ seynd gantz weiß/ in der Grösse einer Tauben. Item die Vögel Rabos Forcados, welche gemeiniglich gantz schwartz seynd/ vnnd ein Schwantz haben einer Schneider Scheren gleich/ den sie im fliegen auff vnnd zuthun. Deßgleichen finden sich auch mancherley Fische/ als Albacores, Bonitos, vnd andere/ insonderheit aber werden gesehen viel fliegende Fische/ die sich auß dem Wasser erheben vnd daruon fliegen/ wann sie von andern Fischen verfolget werden/ werden aber von obengemelten Vögeln/ in dem sie fliegen/ ergriffen vnd gefressen.

Rycina z XVII wieku uwidaczniająca dalekie podróże do Indyj kupców europejskich.



Na prawo: Tak wyobrażano sobie mieszkańców egzotycznych, mało znanych krajów. Sztych z roku 1603.

jące zwycięstwo pod wodzą syna Karola V. Don Juana d'Austria. Ulotki ówczesne wyliczają szczegółowo tych wszystkich, którzy się odznaczyli w tej bitwie i opisują nawet ich strój. Śmierć Don Carlosa również spotyka się z dokładnym opisem, jak wogóle to wszystko, co zachodziło w ówczesnej Hiszpanji, z którą dom Fuggerów utrzymywał żywe stosunki finansowe, służąc kredytem monarchom półwyspu. Znajdujemy również notatkę o napaści wojsk moskiewskich na Liwonję pod datą 1577 r. Śmierć króla Sebastjana portugalskiego w walce z muzułmanami uważana była za zdarzenie nadające się do wydania „dodatku nadzwyczajnego", który też jako ulotka (Flugblatt) zjawił się zpod prasy drukarni lipskiej. Ilustracja przedstawiająca bitwę pozostawia wprawdzie pod względem dokładności nieco do życzenia, ale ludzie ówcześni dorabiali fantazją to, czego nie znajdowali na papierze. Samobójstwo pastora luterskiego z powodu bigamji, zjawienie się w Hiszpanji w miejscowości Calongo, ciemnych chmur, wśród których ludność rozpoznawała różne apokaliptyczne zwierzęta, uroczystości obrzezania w Konstantynopolu, które trwały 51 dni, ukazanie się samozwańczego króla Sebastjana portugalskiego, morowe powietrze, które wybuchło w Konstantynopolu w r. 1586, napad angielskiego korsarza Drake na Kadyks z kilkudziesięcioma okrętami, powstanie Janiczarów w Turcji, zniszczenie „niezwyciężonej Armady", prześladowanie protestantów w Salzburgu, zamordowanie Gwizjuszy, zamordowanie Henryka III, króla francuskiego, liczne egzekucje na stosie czarownic, szczegóły o głodzie w Paryżu i trzęsieniu ziemi w Wiedniu i wiele innych rzeczy stanowiło nadwyraz ciekawe tematy dla ówczesnej „prasy!"

Pomimo, że dzisiaj dziennikarstwo daleko lepiej jest zorganizowane, jak było niemnaówczas, nie rozporządzamy jednak takiemi sensacjami, jakiemi wtedy można było kaptować publiczność. Oto donoszą z Wenecji pod datą 1592 r., że w pewnej wsi w Babilonji urodziło się dziecko, którego twarz pokryta jest kocim włosem i które w osiem dni po urodzeniu poczęło mówić! Według ówczesnych poglądów, zgodnie ze zdaniem znawców nadprzyrodzonych zdarzeń, dziecko to miało być Antychrystem. W r. 1596 zauważono w Rzymie olbrzymi meteor, a w miesiąc później ukazała się kometa. Daleko ważniejsze dla ówczesnych kupców, jak owe nadprzyrodzone zjawiska, były krótkie notatki, odnoszące się do stanu finansowego różnych państw, urodzaju w Nowym Świecie, jak również o ruchach handlowych Anglji i Holandji. Piszą n. p. w r. 1600, że z Ameryki przypłynęły okręty angielskie, przywożąc towaru wartości 324 tysięcy funtów flamandzkich, okręty znowu przybyłe z Moluk wiozły towar wartości 620 tysięcy funtów flamandzkich, w tem za 65 tysięcy funtów gałki muszkatułowej, pieprzu i t. d. Donoszą również o bankructwach domów handlowych w Antwerpji. Nad wyraz ciekawe są opisy egzotycznych krajów: ciekawy reportaż z Kochinchiny podaje dużo prawdziwych szczegółów pomieszanych z fantastycznemi obrazami, które zrodzić mógł tylko umysł ówczesny. Inny numer korespondencji fuggerowskiej przynosi opis z Południowych Indyj. Nad wyraz interesujące są również szczegóły, jakie zawiera obszerny list jednego z misjonarzy katolickich. O. Matta, działającego w Japonji. Opisuje on oczywiście w pierwszym rzędzie sukcesy prasy misyjnej, ale podaje też dużo szczegółów o samym kraju i jego mieszkańcach.



Sztych z r. 1638 z dzieła opiewającego podróże odkrywcze Holendrów.

Gdy się tak przegląda te początki prasy, dochodzimy do przekonania, że psychologja czytelników była zawsze ta sama i z jednej strony interesowały ich wiadomości pozytywne, z drugiej jednak łaknęli sensacyj, działających jak silny narkotyk. I w tej dziedzinie kaczki dziennikarskie w przeszłości przypominają jota w jotę dzisiejsze, różnią się tylko sposobem przyprawienia i sosem, w jakim... pływają!

Jan Maleszewski.

OD GIRLSY DO SOLISTKI



Poniżej: Niezwykle efektowna, ale i bardzo trudna poza tańca akrobatycznego.

Są jeszcze tacy, którzy sądzą, że droga karjery tancerki usiana jest samemi kwiatami. Tymczasem wśród tych pięknych i wonnych róż, ścielących się do stóp przyszłej Izadory Duncan, czy Karsawiny, kryją się ostre kolce, nieraz bardzo dotkliwie raniące stopy młodocianej adeptki sztuki choreograficznej.

Utarło się powiedzenie, że droga do sławy jest drogą cierniową. Ale gdzież może być mowa o indywidualnej sławie, gdy chodzi o szarą armję... girlsów? Przecież tam wszystko polega na standarcie urody — ujednostajnieniu wzrostu, linji postaci, nawet charakteru twarzyczki, za któremi dopiero idzie idealne sharmonizowanie ruchów całego zespołu. To zmechanizowanie sztuki tanecznej sprowadza zanik wszelkiej indywidualności u najbardziej utalentowanych dziewcząt i zwykle zamyka im drogę do karjery solistki.

Taniec zespołowy w pojęciu amerykańskiej sztuki rewjowej, który przejęły potem wszystkie teatry starego kontynentu, mało ma wspólnego z wzorcami klasycznej choreografji. Podczas, gdy bowiem dawniej nawet kilkudziesięcioosobowe balety rzadko ograniczały się do grupowych kompozycji, a raczej kładły główny nacisk na pojedyncze kreacje taneczne ,tworzące dopiero logiczną i imponującą całość — dziś nawet te grupy należą do rzadkości, a w miejsce ich wstępuje na deski sceny sznurek świetnie wymusztrowanych girlsów, które przed jarzącą się tysiącami lamp rampą wykonują w szalonem tempie zsynchronizowane ruchy, pozbawione indywidualnego wdzięku i poezji tańca.

Ten zwrot w technice baletowej zawdzięczamy głównie jazzowi. Rytmika nowoczesnych tańców znalazła najlepsze rozwiązanie w zawiłych figurach stepu, gdzie przecież przedewszystkiem chodzi o miarowe, lub synkopowane wybijanie taktu nogami. Nieraz podziwiamy te prawdziwe łamańce na ekranie, wykonywane przez różnych kolorowych solistów. Ale dopiero zdumiewamy się, gdy stają się one podstawą produkcyj tanecznych całej armji girlsów. Wówczas musi nam to więcej imponować, niż najświetniejszy marsz gwardji pruskiej, gdzie przecież efekt zamaszystych ruchów zależy wyłącznie od ich jednoczesnego wykonania przez tłum żołnierzy. Czy jednak jest to wogóle sztuka?

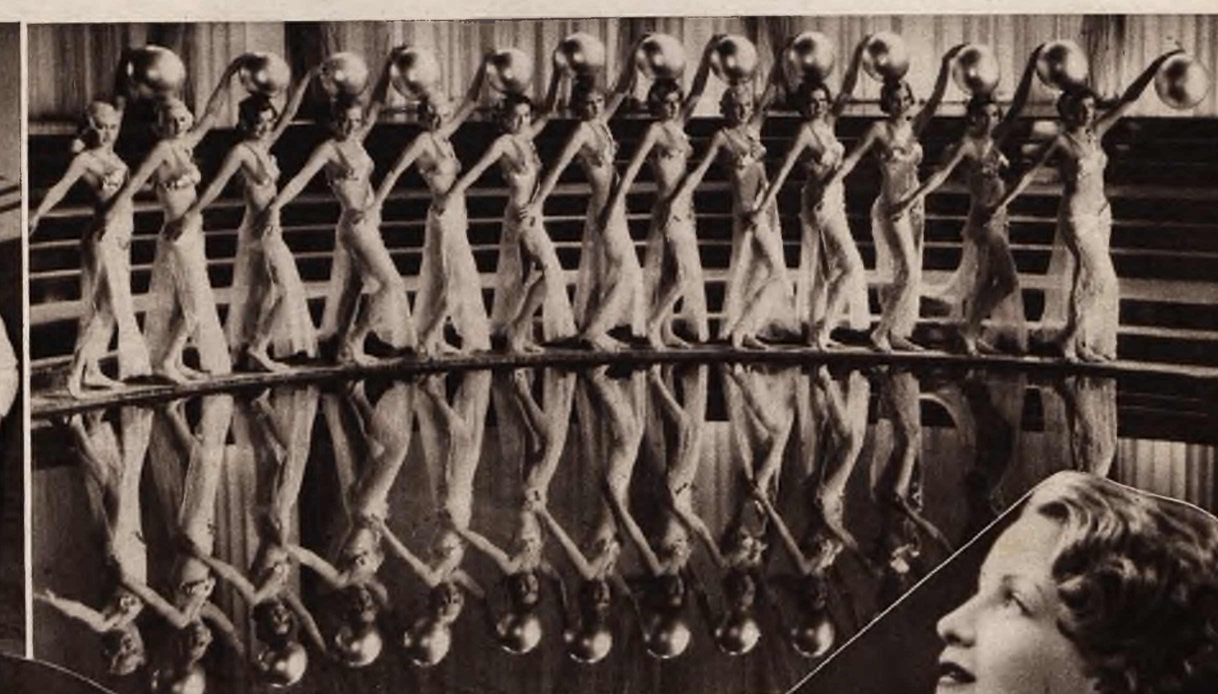
Biedne, małe girlsy! Gdy obsejwujemy wasz trud w pokonywaniu najbardziej wyszukanych ćwiczeń, któremi gnębią was nauczyciele w szkole baletowej, gdy patrzymy na wasze życie, pełne wyrzeczeń się przyjemności zwykłych śmiertelników, by tylko zdobyć potem upragniony przez każdą tancerkę cel — karjerę solistki, wówczas na widok drobnych postaci waszych koleżanek, zbitych w zwartym szeregu szarych żołnierzyków rewji, gdzie wszystkiem jest masa, niczem jednostka, — zadajemy sobie pytanie: Czy i tu wszystko zależy od szczęścia?

J. L.



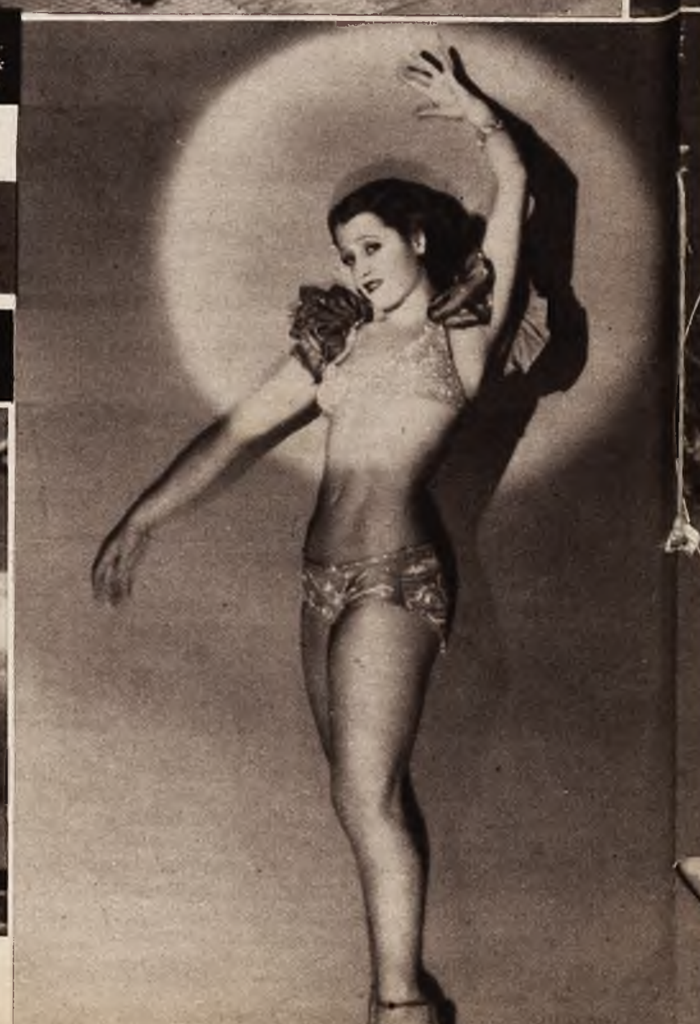
Na prawo: Ćwiczenia przyszłych tancerek akrobatycznych.





Girlsy wytwórni M. G. M. w efektownym tańcu z kulami.

Powyżej na lewo: Dwie młodociane tancerki akrobatyczne w czasie lekcji w berlińskiej międzynar. szkole tańca.



Na prawo: Urocza solistka wiedeńskiej „Feminy".



Poniżej: Baletnice zespołu Mary Zimmermann podczas rannego treningu.



W kole: Frances Drake w efektownym tańcu „Walka torreadora".



Na prawo: Artystka filmowa, Sari Maritza, która wyszła z „armji" girlsów.

SMUTNA KRÓLOWA

Z PORTRETU DEL MAZA

W madryckiem muzeum Prado, wśród galerji przepysznych portretów rodziny królewskiej z XVII wieku — wisi jeden obraz, którego nie sposób nie wyróżnić i nie zapamiętać. Portret jednego z najbliższych Velazquezowi malarzy hiszpańskiego dworu — Juana Bautista del Mazo, przedstawający królową Marjannę. We wnętrzu bogatej komnaty, na wspaniałym wschodnim kobiercu — z prawą ręką, opartą lekko o poręcz fotelu, stoi cała w żałobnej czerni młodziutka, kobieca postać. Gdyby nie sztywna wspaniałość i czerń szaty — myślećby można, że ma się przed sobą dziecko nieledwie, a wrażenie to podkreśla jeszcze drobna kibić i jasne, złote warkocze, z naiwnym wdziękiem otaczające pociągłą, bladą twarzyczkę. Lecz w spojrzeniu i wyrazie ust niema już nic dziecinnego. Smutek zastygły w gorzkim nieco półuśmiechu — melancholijne spojrzenie oczu, w których maluje się rozczarowanie i powaga doświadczeń, — sprawiają, w zestawieniu z wiekiem modela, patetyczne wprost wrażenie.

Kim jest ta mała, żałobnie smutna królowa? Jakie było jej życie, to życie, które tak wcześnie naznaczyło powagą i smutkiem jej dziecinną jeszcze twarzyczkę? Los jej ściśle był związany z domem królewskim Habsburgów hiszpańskich: była córką ukochanej siostry Filipa IV. Marji, małżonki cesarza austrjackiego Ferdynanda III; jako dziecko zaręczono ją z młodziutkim następcą hiszpańskiego tronu, infantem Baltazarem Carlosem, synem tegoż Filipa IV i jego żony Izabelli de Bourbon. Lecz kiedy śmierć przedwczesna zabrała jej młodego oblubieńca w wieku dziecięcym, po śmierci królowej Ibabelli osamotniony Filip IV postanowił zająć miejsce syna i poślubić jego narzeczoną. Wielu osobistościom współczesnym to projektowane małżeństwo z o 30 lat młodszą rodzoną siostrzenicą wydało się niestosownem, nazywano je „il matrimonio il piu improprio", lecz potężna wola królewska i racja stanu były i tym razem silniejsze. Nie pytana o zdanie, młodziutka oblubienica, licząca podówczas zaledwie lat czernaście, stanęła na ślubnym kobiercu ze swym niedoszłym teściem, i w Navalcarnero — dokąd dostojny małżonek wyjechał na jej spotkanie — została mu poślubioną przez arcybiskupa



Królowa Marja hiszpańska, małżonka króla Filipa IV, według portretu Juana Bautista del Maza w muzeum w Prado.

Wjazd młodej królowej do Madrytu odbył się z niebywałym przepychem, który — według słów historyka Justi'ego, — był jakby płaszczem z purpury, rzuconym na rany i nędzne łachmany; trzeba bowiem pamiętać, że był to okres, kiedy potężne wiązania tronu hiszpańskiego zaczynały trzeszczeć i załamywać się niebezpieczne, mimo wciąż jeszcze utrzymywanych pozorów potęgi i świetności. Ale król Filip IV nie żałował złota, czerpanego z podatków płaconych przez coraz to biedniejszy naród: na jego rozkaz, na drodze młodej monarchini powstały bramy triumfalne i łuki, trybuny, zdobne w kwiaty i kosztowne tkaniny, iluminowane nisze z posągami mitolgicznych bogów, a okna i balkony na drodze do królewskiego pałacu pokryły tak gęsto kobierce i złotolite brokaty, że ulica wyglądała, jak nawa katedry. A przedmiotem tych wszystkich uroczystości i przepychów była czternastoletnia, nieśmiała i zalękniona Marjanna, niezbyt ładna, wątła i niepozorna. I rzecz dziwna! Filip IV, który tak często zaniedbywał piękną i rozumną Izabellę Burbońską, teraz — dla tej skromnej dziewczynki, okazał się najczulszym i najwierniejszym małżonkiem.

Lecz ta jesienna miłość starzejącego się króla nie potrafiła zniwelować dystansu owych fatalnych 30-u lat, dzielących go od żony. Wśród przepychu komnat Alcazaru królowa Marjanna pozostała ową smutną i zalęknioną nieco dzieweczką, którą widzimy na portrecie del Mazo. Może nie potrafiła zapomnieć młodziutkiego oblubieńca, owego, tak obiecującego, infanta Baltazara Carlosa, którego przedwczesna śmierć pchnęła ją w objęcia starego, niekochanego człowieka. A może sztywna i pompatyczna etykieta hiszpańskiego dworu zbyt wcześnie stłumiła jej beztroską młodość i bezpośredniość. Podobno jej ochmistrzyni, „camarera mayor", musiała sobie zadać wiele trudu, aby oduczyć ją zbyt spontanicznego sposobu bycia i dziecinnego śmiechu, który tak bardzo nie licował z godnością hiszpańskiej królowej. Ale można przypuszczać, że starania jej nie pozostały bez rezultatu: na wszystkich późniejszych portretach królowej Marjanny, malowanych przez mistrza królewskiego dworu — Velazqueza — odnajdujemy zawsze ten sam wyraz: pod konwencjonalną maską utajony rys melancholji, rozczarowania i zadumanej powagi. **Ewa Mieroszewska (Kraków).**



Król hiszpański Filip IV. Portret Velazqueza w muzeum w Prado.



Królowa Marja hiszpańska, według portretu Velazqueza w muzeum w Prado.

SPOJRZENIE Z NIEBA

Aby rozkrzewić ideę lotnictwa i przyzwyczaić ludzi do latania, coraz częściej urządza się propagandowe loty dla publiczności z okazji rozmaitych pokazów, meetingów lotniczych i t. d.

Niejednokrotnie koło znajomych otoczy bohatera takiego krótkiego przelotu i wszyscy pytają ciekawie: „No i jak tam było? Nie bałeś się?"

„Cóż znowu, wspaniałe uczucie! — puszy się zwykle zapytany, nawet jeśli jeszcze blady jest po niemiłej podróży... nad Bałtyk, którą odbywa niejeden nowicjusz powietrza.

Wkońcu pada zwykle pytanie: „A jak wygląda ziemia z góry?"

W rzeczywistości świat widziany z wyżyn szybującego samolotu, przedstawia najwspanialsze obrazy, dające pełne zadowolenie człowiekowi wrażliwemu na piękno; trzeba tylko umieć patrzeć...

Gdy tylko ucieknie z pod kół samolotu, zielony szmat lotniska przez chwilę ziemia jeszcze zapada się widocznie gdzieś w głąb pod nami, ale potem jakby znieruchomiała, powolutku tylko przesuwa się i w miarę naszego wzbijania się poszczególne odcinki terenu kurczą się niedostrzegalnie.

wysokość, na jakiej się znajdujemy, nigdy nie widzimy horyzontu gdzieś w dole, niewzruszenie kładzie się wprost przed nami, dzieląc cały obszar widoczności na dwie półkule: nieba i ziemi.

Przypatrzmy się najpierw ziemi. Pionowo pod nami w zawrotnej głębokości barwi się jak kostjum Arlekina, łatanina zielonych łąk i pastwisk, czarnych przeoranych ról i jasno-żółtych łanów zboża.

Łączą się kolorowe prostokąciki w fantastyczne desenie i rysunki: raz tworzą wzorzystą tkaninę o wesołych odcieniach plam, gdzieindziej układają się w jaskrawy pasiak łowicki, tam znowu biegnie szeroki pas słucki, mieniący się w słońcu złotoglowiem łanów dojrzałego zboża.



Przed startem w podróż powietrzną.



Na lewo: Z podróży samolotem nad Afryką: jak widać żyrafy nie są zachwycone odwiedzinami metalowego ptaka.



Jeden z momentów przeglądu powietrznej floty angielskiej, która odbyła się w ub. roku przed królem angielskim na aerodromie w Mildenhall, Suffolk.

Pojedyncze przedmioty tracą swą bryłowatość i odtąd pod i przed nami rozpościera się różnobarwny haftowany dywan kolistego kształtu, podniesiony i łagodnie wygięty na krańcach, wyściela olbrzymią wklęsłą czarę, której brzegi stanowi daleki horyzont. Zdumiewający i niezrozumiały jest często dla nielotników fakt, że horyzont znajduje się zawsze na poziomie naszych oczu; bez względu na

Sieć białych wąskich zygzaków, przecinających się we wszystkich kierunkach, przecina powierzchnię obrazu na mniejsze geometryczne figury. To drogi i szosy; wszystkie wyglądają z góry gładkie i równe.

Na pewnej partji terenu zbiegają gwiaździsto ku sobie i łączą się w jeden duży węzeł, jak środek pajęczej sieci. Nadlatujemy bliżej i przypatrujemy się dokładnie; małe zbiorowisko drobnych przedmiotów niby małych pudełeczek. Jesteśmy ponad miasteczkiem. Domki widziane z góry, pokazują nam tylko swe dachy, czerwone i czarne, czasem szare. Jak na dłoni widzimy ogólny rysunek uliczek i placów, wokół centrum rozchodzą się promieniście ulice, jak szprychy w kole. Większe miasta przedstawiają szarą szachownicę bloków, nad któremi snują się zawsze dymy z miniaturowych rurek jakiemi wydają się kominy fabryczne. Parki i plantacje łagodną zielenią mile kontrastują z szarą masą miasta. Po białych paskach ulic pełzną kolorowe biedronki, dziwne gąsieniczki, to samochody i tramwaje;



Maszerujące wojsko przypomina widzianych z góry ołowianych żołnierzy, ustawionych w szeregach ręką dziecka.



Jeden z fortów krakowskich widziany z samolotu.

ludzie przedstawiają się jak pasma drobniutkich czarnych punkcików, niczem ziarna maku leżące na jasnych tasiemkach... Wieże kościołów widziane pod kątem, sterczą do góry nad płaszczyzną dachów niczem koniuszki zaostrzonych ołówków.

Nad wielkiem miastem unosi się zwykle blada mgławica pyłu i dymu, czyniąca miasto zdaleka niewidocznem. Wsie nie robią wrażenia określonej całości. Zwykle wzdłuż drogi szereg białych plamek ścian i kilka zwitków dymu... to wszystko.

Osobliwe wrażenie wywiera rzeka. Wprost pod nami wygląda jak bezbarwna ciemna wstęga o żółtawych brzeżkach. Dokładnie widać kolor dna i wprawny obserwator umie wywnioskować o głębokości rzeki i szybkości nurtu. Żółte łachy piaszczyste jasno odcinają od wody koloru sepji i widać ich dalszy ciąg jak w postaci brodu malują się pod ciemnym szkłem powierzchni. Łagodne zakręty rzeki wiją się wężowo, dalej przed nami wydają się częstsze, ale to tylko złudzenie spowodowane ostrym kątem widzenia. Rzeka odbija promienie słoneczne i nie widzimy już dna tylko srebrne pasmo, potem w oddali zwęża się i zwija coraz bardziej, wreszcie jak srebrny włosek cieniutkim zygzaczkiem ucieka poza nieboskłon.

Mosty drewniane, to konstrukcja z malutkich zapałeczek, żelazne z czarnych drucików, leżą prawie zawsze na białych linjach dróg. Ale jeden z nich właśnie czarny druciany przyczepił się oboma końcami do jakiejś dziwnej szarej tasiemki, gęsto poprzecznie prążkowanej, z zielonemi obrzeżeniami. Jakieś drzazgi sterczą wzdłuż niej w miarowych odstępach. Tasiemka i prążki, to tory kolejowe i podkłady, zielone sznureczki to nasyp lub wykop zaś słupy telegraficzne mają wygląd śmiesznych patyczków.

Na pewnej części naszego wzorzystego dywanu, zieleni się jakiś nieokreślony kształt, jak powycinana łata sukna bilardowego, niepotrzebnie przyszyta na wielobarwnym kilimie. Przelatujemy nad lasem, który przedstawia nam studjum zieloności we wszystkich odcieniach.

Jakieś białe pudełeczko błyszczy na tle zieleni, jesteśmy za wysoko, nie rozróżniamy dokładnie kształtów... Jeden delikatny ruch drążka i sukno powoli podnosi się do nas jak zaczarowane.

Piękny mały zameczek wznosi swe białe mury, ukryty w głębokiej puszczy przed okiem wędrowca. Obniżamy się zupełnie i podlatujemy w stronę zamku. Znowu mały ruch ręką i nogą i o dziwo... cały budynek posłusznie kręci się tuż obok nas wokół swej osi, jak gipsowy model na ruchomej tarczy. Kolejno prezentuje nam swe cztery ściany.

Małe wysoko umieszczone okna, nadają mu obronny wygląd, ze stromych wysokich dachów wystrzela kilka wysokich wieżyczek. Obszerny



Dzięki połączeniu radjowemu współczesny lotnik utrzymuje stały kontakt z ziemią. Na zdjęciu Kathleen Burke, znana artystka filmowa w roli pilotki.

dziedziniec zamknięty wewnątrz budowli, podnosi ją do godności prawdziwego „zamku". Z zadowoleniem konstatujemy, że z samolotu możemy podziwiać równie wygodnie całość jak i szczegóły. Na ziemi musimy wybierać: albo przyjrzymy się z bliska fragmentom, albo z oddalenia obejmiemy wzrokiem całość.

Wzbijamy się wyżej i wkrótce krajobraz zmienia się nie do poznania. Urywa się płaska mozaika wiejskich pejzaży, lecimy nad pasmem gór. Zapewne obraz podobny do widoku, ze szczytu najwyższego na inne niższe góry, lecz stokroć od niego świetniejszy i pełniejszy. Jak groźnie piętrzą się potężne masywy skalne grożąc swemi szczytami lotnikowi! Poszarpane grzbiety gór rozciągają się we wszystkich kierunkach, jak wyszczerzone zęby kamiennego olbrzyma. Jak macki biegną wąwozy, rozpadliny i wąskie szczeliny między kolosalnemi złomami granitu.

Przepaście i kotliny zioną pustką czarnych czeluści. Najwyższe szczyty lśnią śnieżnemi czapami.

Niesamowita plastyka gór występuje w całej swej okazałości dopiero oglądana z lotu ptaka.

Szukamy jeszcze czegoś nowego na powierzchni ziemi, czegoś co możemy zobaczyć bez samolotu, lecz chcemy porównać i uchwycić różnice.

Morze... Morze... Brzeg morski usadowił się pod kadłubem naszej maszyny. Za jedną burtą znany krajobraz lądowy, tylko kilka większych jezior drzemie szklanym snem na zielonym posłaniu lasów. Za drugą morze, bezkresny obszar przykryty tiulowym welonem mgły, rozpostartej szeroko w stronę horyzontu i obciętym jak nożem przy samym brzegu.

Jest wczesny ranek, słońce jeszcze nie wzeszło; nastrój senny w powietrzu jeszcze wisi szary mrok... Wtem na wschodzie wytrysnął pęk promieni z pod horyzontu, zapaliła się część nieba różową łuną niewidocznego jeszcze słońca... Upływa długa chwila i powoli z śpiącego oceanu wynurza się wielka tarcza słoneczna w jaskrawej aureoli królewskiej purpury.

Jeszcze tylko małym skrawkiem kąpie się w morzu i wreszcie odrywa się od nieboskłonu i już swobodne, wspaniałe, wznosi się do swej codziennej wędrówki po olbrzymim łuku...

Morze budzi się do życia. Wyraźnie widać jak mgła rzednie i znika, chyba morze wessało ją w siebie, aby całą powierzchnią wchłaniać w siebie gorące promienie słoneczne. Snuje się jeszcze nad wodą zbłąkane pasma jak strzępy pajęczyn, ale i one rozpływają się w nicość. Teraz morze jest jedną taflą szkła o stalowo-niebieskim kolorze.

Zupełnie wyraźnie obserwujemy dwa słońca oddalające się od siebie w tej samej odległości od ostro wyrysowanej linji horyzontu; oba słońca jednakowo wielkie, oba oślepiają czerwonym blaskiem. Pod nami możemy odróżnić poprzez warstwę wody kolor i rodzaj dna rude smugi: to piasek, zielono bronzowe połacie, to pola wodorostów, przyniesinych z pełnego morza.

Słońca oddaliły się od siebie na znaczny dystans i z niebywałą wyrazistością błyszczy pod nami port, ze wszystkiemi swojemi urządzeniami. Geometryczne formy basenów otoczone białemi falochronami, układają się planowo i przejrzyście: zupełnie oczywistem się wydaje, że właśnie tak należało zbudować wejście do portu i jak znakomicie wygląda z góry dworzec towarowy z niezliczoną ilością splątanych sznureczków torów i długiemi paciorkami naładowanych wagonów. Rzędem błyszczą jak kieszonkowe zwierciadełka płaskie dachy portowych magazynów.

A na szklanej powierzchni basenów dziecinne zabaweczki, poustawiane jedna obok drugiej, miniaturowe okręciki o bielutkich pokładach i czarnych kadłubach.

Trudno wprost uwierzyć, że te łupinki potrafią pomieścić w swem wnętrzu tysiące tonn towarów.

Kilka małych żaglówek wypływa z przystani rybackiej, ich żagle lśnią jak skrzydła motyli.

Istnieje jeszcze jedna kraina cudów, której istnienia niektórzy śmiertelnicy nawet nie przypuszczają. To już

(Ciąg dalszy na str. 22-ej).

Z LOTU PTAKA...

Zdjęcie lotnicze Kopca Kościuszki pod Krakowem.



(Dokończenie ze str. 20-tej).

zaczarowane królestwo, dostępne tylko lotnikom prawdziwym panom przestrzeni, zamknięte na zawsze przed przyziemną gromadą.

Wzbijamy się ponad chmury, chwilę lecimy otuleni szarym całunem mgły, wreszcie wypływamy nad powierzchnię chmurnego pułapu... Widok jaki się przed nami roztacza niema nic równego sobie na powierzchni naszej skorupy ziemskiej.

Z góry morze chmur przedstawia obraz, zupełnie odrębny. Przedewszystkiem oślepiająca jasność bije w oczy zachwyconego widza. Olbrzymie pola śnieżnobiałego puchu tworzą dekoracyjne motywy o powierzchni wielu kilometrów kwadratowych. W innej stronie rozlewa się ocean kłębiastych bałwanów. Wydęte balony jak żagle okrętu układają się szeregami jedne za drugiemi, cała flotylla żagli... rzucając wzajem na siebie częściowe cienie, malują czarowną grę świateł i cieni, trudną wprost do opisania słowami.

Wielkie obłoki wiążą się w fantastyczne łańcuchy i pasma podobne do gór, lecz nasycone światłem do nieprawdopodobnej intensywności: najprawdziwsza Szklana Góra z baśni, zawieszona w przestrzeni wysoko nad ziemią.

Pionowe białe ściany z kości słoniowej wznoszą się przed nami, przelatujemy wzdłuż nich i nie możemy uchwycić zagadkowej budowy tajemniczej substancji, z której powstaje ten cudowny świat. Pobyt nad chmurami to już nie przelotne wrażenie, to prawdziwe przeżycie dla estety, przeżycie, które urzeczywistnia najczarowniejsze sny artysty malarza o doskonałem pięknie.

Lot w przestrzeni, zamkniętej od spodu, czarownym oceanem mlecznej mgławicy, od góry kryształową kopułą szafirowego nieba, to najwyższa radość dla lotnika, to szczęśliwe życie w krainie zupełnej swobody i radości...

Ale niestety musimy wracać, do codziennej szarzyzny ziemskiego padołu.

Ziemia jest pod nami, jak przedtem. Obracamy ją pod sobą, znajdujemy wybrane miejsce i władczym drążkiem niby magiczną laseczką czarodzieja przysuwamy je do siebie. Teren rozciąga się pod nami, jak obrazek namalowany na gumowym baloniku, który powoli nadmuchujemy. Groteskowe pudełeczka, rosną do rozmiarów domków dla lalek, potem pęcznieją, nabierają kształtów i widzimy, że ostatecznie kto wie, czy i my nie zmieścilibyśmy się w nich. Kilka drzew pędzi na nasze spotkanie i przepada w nieznanej otchłani za naszemi plecami.

Lotnisko grzecznie przysuwa się do nas, podnosi się do góry, przylepia do kółek naszej maszyny. Jeszcze rozpędzone ucieka trochę do tyłu, obracając koła i gościnnie podjeżdżają otwarte hangary.

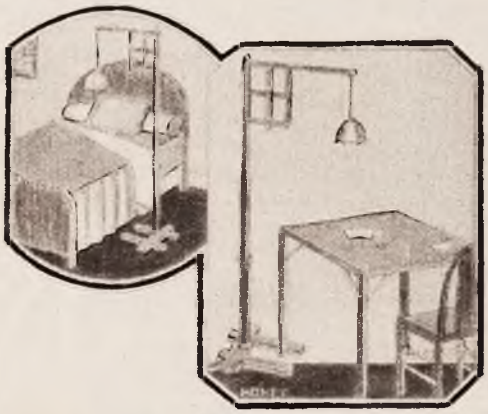
Wysiadamy z samolotu, który był na pewien czas, naszym krajem i spoglądamy do góry z niedowierzaniem...

Czy tam naprawdę tak pięknie? Czy tam wznosi się wyśniona Szklana Góra? A może zasnęliśmy na chwilę w samolocie?...

Zygm. Czyżowski.

KĄCIK PRAKTYCZNEJ PANI DOMU

Lampa uniwersalna



Problem lampy uniwersalnej był już nieraz tematem rozważań fabryk, które się trudnią wyrobem tego artykułu. Ostatnio Anglicy wypuścili tego rodzaju tani fabrykat (uwidoczniony na powyższym rysunku), który szybko przyjął się wśród mniej zamożnych ludzi.

Ozdoby z kwiatów.



Najmodniejszem obecnie przybraniem jest naszyjnik z kwiatów. Sporządza się go z kilku świeżych gardenij, które naszywa się na jedwabny sznur. Taki naszyjnik wygląda niezwykle efektownie.



Tafta, utrzymana w żywych kolorach i szkockim deseniu, jest eleganckiem uzupełnieniem angielskiego kostjumu. Krawatkę można zrobić samemu, krając ją ze skosu, następnie składając podwójnie, aby się utworzył okrągły wałek, który można przytrzymać guzikami w kształcie żołędzi. Rękawiczki, kwiat i wstążka na kapeluszu z tej samej tafty.

Czy wiecie, że...

Plamy powstałe z jodyny dadzą się zupełnie wywabić, jeżeli się je zaraz namoczy w mleku, a potem starannie wypierze. — Atramentem splamione tkaniny natrzeć lekko letniem mlekiem, o ile zabieg zostanie zaraz po splamieniu wykonany, plamy znikną zupełnie. Znaki przypaleń zbyt gorącem żelazkiem dadzą się usunąć mlekiem, należy uszkodzony kawałek namoczyć w gorącem mleku, a potem uprać i wysuszyć.

* * *

Jeżeli pierzemy biały jedwab, dobrze jest do ostatniego płókania dodać trochę mleka. Przywraca to jedwabowi połysk, nie niszcząc go.

* * *

Zszarzałe i pożółkłe płótno, jak również bawełniana bielizna odzyskują spowrotem śnieżną białość, jeżeli się je gotuje przez ½ godziny w kwaśnem mleku z płatkami mydlanemi. Potem normalnie uprać i lekko przyfarbkować.

* * *

Piorąc rękawiczki „glacé", rozgotować płatki mydlane zamiast w wodzie w mleku — włożyć rękawiczki na ręce. Zmoczyć kawałek flaneli w tym rozszczynie i lekko nacierać rękawiczki, potem wytrzeć kawałkiem suchego płótna.

* * *

Przedmioty z bursztynu powinny być od czasu do czasu myte w mleku, które go znakomicie czyści i utrzymuje połysk.

Do pielęgnacji twarzy używać kwaśnego mleka; świetnie wybiela skórę. — Znane jest jego działanie leczące przy bolesnem opaleniu.

* * *

Zoksydowane srebro czyści się świetnie mlekiem. Przedmioty ze srebra należy moczyć przez godzinę w kwaśnem mleku, a potem wymyć je w gorącej wodzie. W ten sposób unika się zniszczenia, które przynosi prędzej czy później czyszczenie rozmaitemi pastami.

* * *

Zamiast szorować mydłem i wodą posadzkę kafelkową w kuchni, lub łazience, wytrzeć ją mokrą ścierką, maczaną w wodzie z parafiną (na ½ wiadra gorącej wody dodać 2 filiżanki parafiny). Oszczędza to znacznie pracę, a posadzka wygląda jak nowa.

* * *

Mydlany osad na wannie znika momentalnie, jeżeli zmyjemy go mokrą ścierką z dodatkiem kilku kropel parafiny.

* * *

Myć okna parafiną! Będą przeźroczyste i świecące.

* * *

Używać parafiny z mydłem do mycia rąk. Nie ma nic lepszego nad tę kombinację, która najbrudniejszym i zniszczonym rękom przywraca białość i miękkość.

Daisy.



Opowieść z epoki kamiennej

2-gi ODCINEK.

H. G. WELLS | PRZEKŁAD W. de RICHE | ILUSTR. CHARLIE

Minął ją już dawno, a dziewczę z epoki kamiennej spoglądało wciąż wdół poprzez gałęzie. Opuściła ją cała energja. Trzymała się drzewa instynktownie rękami, kolanami i stopami. Dopiero po pewnym czasie mogła zebrać myśli, a i wtedy uprzytomniła sobie to tylko, że Postrach był między nią i jej plemieniem — że nie może schodzić na ziemię.

Kiedy wreszcie opanowała lęk, znalazła sobie lepsze miejsce na wielkiej, rozwidlającej się gałęzi. Wokół rosły drzewa tak, że nie mogła widzieć Bratniego Ognia, który jest we dnie czarny. Ptaki zaczęły się odzywać, a stworzenia, które ukryły się ze strachu przed nią, zaczęły opuszczać kryjówki...

Po pewnym czasie górne gałęzie stanęły w blasku zachodzącego słońca. Fruwające nad jej głową wrony, które były mądrzejsze, niż ludzie, zaczęły wracać na nocleg między olchy. Wdole robiło się ciemno. Eudena postanowiła powrócić do obozu, ale znów przyszedł jej na myśl Postrach Mrocznych Lasów. Kiedy się tak wahała, przebiegł królik i straciła wszelką śmiałość.

Mrok zapadał, a w głębi lasu wszczął się ruch. Eudena wspięła się wyżej na drzewo, aby być bliżej światła. Pod nią skradały się cienie, a ponad nią błękit ciemniał. Zapadła straszliwa cisza, a potem liście zaczęły szeleścić.

Eudena zadrżała i przyszedł jej na myśl Brat Ogień.

Cienie sięgały teraz gałęzi, otaczając ją zwolna. Konary i liście zmieniły się stopniowo w złowróżbne, ciche, czarne postacie, które czekały tylko na jej poruszenie, aby się na nią rzucić. Potem biała sowa, płynąc bezszelestnie w powietrzu, wyłoniła się z mroku, jak upiór. Świat stawał się coraz ciemniejszy, a ziemi nie było już widać.

Pozostała na drzewie przez całą noc, nie zmrużywszy oka. Nadstawiała uszu na każdy szmer wdole i nie ruszała się z obawy, aby nie zauważył jej jakiś groźny zwierz. Ludzie ówcześni nie pozostawali na noc sami, chyba w rzadkich wypadkach, jak ten. Przez wieki całe noc budziła w nich grozę, o jakiej my, biedne dzieci czasów dzisiejszych, nie mamy pojęcia. Eudena, chociaż miała lata kobiety, była w głębi duszy małem dzieckiem. Zachowywała się tak cicho, jak biedne, małe zwierzątko, jak zając, zanim się go wypłoszy.

Gwiazdy przyglądały się jej ciekawie. Jedna z nich przypomniała jej, niewiadomo czmu, Ugh-lomiego. Potem wydało jej się, że to był Ugh-lomi. A niedaleko, czerwony i ciemniejszy, był Uya, przed którym Ugh-lomi uciekał po niebie w miarę, jak noc mijała.

Chciała zobaczyć Bratni Ogień, który strzegł obozowiska przed zwierzętami, ale nie mogła go dostrzec. A z oddali dochodziło trąbienie mamutów, spieszących do wodopoju... Raz przebiegł ciężkim krokiem jakiś wielki zwierz, rycząc, jak cielę, ale nie mogła przekonać się, co to było takiego. Wnosiła z jego ryku, że był to Yaa nosorożec, który atakuje nosem, chodzi zawsze sam i wpada w gniew bez powodu.

Wkońcu zaczęły znikać najpierw małe, potem wielkie gwiazdy. Przypominało to ucieczkę wszystkich zwierząt przed Postrachem. Przybywało Słońce, pan nieba, jak szary niedźwiedź był panem lasu. Eudena zastanawiała się, coby się stało, gdyby któraś z gwiazd została wtyle. A potem niebo zaczęło blednąć przed świtem.

Z brzaskiem dnia opuściła ją trwoga i mogła zejść na ziemię. Była skostniała, ale nie tak skostniała, jakbyś była ty, kochana czytelniczko — dzięki twej wyższej kulturze — a że nie przyzwyczajono ją do jadania co trzy godziny, ale kazano nieraz pościć przez trzy dni, nie doznawała uczucia głodu. Zeszła z drzewa z wielką ostrożnością i zaczęła iść przez las, rozglądając się dokoła, gdyż strach przed szarym niedźwiedziem paraliżował jej ruchy.

Pragnęła teraz odszukać swoje plemię. Obawa przed Chytrym Uyą ustąpiła miejsca większej obawie przed samotnością. Ale zabłądziła. Biegła wprost przed siebie poprzedniego wieczora i nie mogła powiedzieć, czy obozowisko znajdowało się w stronie, gdzie wschodziło słońce, czy też gdzieindziej. Zatrzymywała się co chwila, nadsłuchując i wkońcu, z oddali doleciał ją miarowy dźwięk. Był tak słaby mimo ciszy poranka, że musiał dochodzić z bardzo daleka. Ale znała ten dźwięk i wiedziała, że to jakiś człowiek ostrzy krzemień.

Nagle drzewa zaczęły rzednieć, a potem natrafiła na cały pułk pokrzyw, które zagrodziły jej drogę. Zboczyła z niej i znalazła się przed dobrze sobie znanym pniem zwalonego drzewa, ponad którym latały roje pszczół. I wtedy ujrzała w oddali wzgórze i rzekę u jego stóp i dzieci i hipopotamy tak, jak wczoraj i cienki słup dymu, chylącego się pod tchnieniem wietrzyka. Tam dalej, nad rzeką znajdował się gaj olchy, gdzie szukała schronienia. Na widok jego wróciła obawa przed Uyą, zaszyła się zatem w gęstwinę paproci, wypłoszywszy stamtąd królika i leżała przez pewien czas, przyglądając się obozowi.

Ludzi nie widziała, wyjąwszy Waua, obrabiacza krzemieni i dlatego uczuła się pewniejszą. Udali się, bez wątpienia, na polowanie. Część kobiet była w rzece, gdzie szukała, zgarbiona, muszli i ślimaków, a na ich widok Eudena uczuła głód. Wstała i zaczęła biec przez zarośla, chcąc się z niemi połączyć. Nagle usłyszała jakiś cichy głos, wydobywający się pośród paproci. Zatrzymała się. Potem usłyszała szmer i ujrzała Ugh-lomiego. Na jego twarzy widać było zeschłą krew i kurz... Oczy miał dzikie, a w ręku dzierżył biały kamień Uyi, biały Kamień do Rozniecania ognia, którego nikt nie ważył się dotknąć oprócz Uyi. W jednym skoku znalazł się obok niej i chwycił ją za ramię. Odwrócił ją i popchnął w stronę zarośli. „Uya" rzekł i podniósł rękę. Usłyszała krzyk, spojrzała za siebie i zobaczyła, że wszystkie kobiety wyprostowały się, a dwie z nich wychodziły z rzeki. Potem rozległo się w pobliżu wycie i stara kobieta z brodą, która pilnowała ognia na wzgórzu, zaczęła machać rękoma tak, że Wau, który obrabiał

krzemień, zerwał się na nogi. Małe dzieci zaczęły również biec i krzyczeć
— Chodź! — rzekł Ugh-lomi i pociągnął ją za sobą.

Jeszcze nie rozumiała.

— Uya wydał okrzyk śmierci — rzekł Ughlomi, a ona, oglądnąwszy się na wyjące półkole postaci, pojęła, o co chodzi.

Wau, wszystkie kobiety i dzieci szli ku nim, niesforne stado postaci o bydlęcych głowach, wyjące i krzyczące Przez wzgórze biegło dwóch niedorostków. Z dołu, przez paprocie, zmierzał w ich stronę jeden z mężczyzn, chcąc im odciąć drogę do lasu. Ughlomi puścił jej rękę i oboje zaczęli biec, ramię przy ramieniu, przeskakując przez krzewy w długich susach. Eudena, która wiedziała, jak jest zwinny i Ugh-lomi, który wiedział, jak zwinną jest ona, śmiali się głośno podczas tego nierównego pościgu. Byli oboje, jak na owe czasy, parą nieprzeciętnych szybkobiegaczy.

Przebiegli wkrótce przez otwartą przestrzeń i znaleźli się znowu w pobliżu lasku orzechowego — nie lękając się teraz, gdyż było ich dwoje. Zwolnili kroku, przekonani, że nie mają czego się spieszyć. Nagle Eudena krzyknęła i skręciła wbok, pokazując palcem i oglądając się za siebie. Ugh-lomi ujrzał między drzewami biegnące ku niemu stopy i nogi mężczyzn. Eudena biegła już po stycznej. A kiedy i on skręcił wbok, aby podążyć jej śladem, usłyszeli głos Uyi, który ścigał ich, rycząc z wściekłości.

Wtedy ogarnął ich lęk, nie lęk, który odbiera swobodę ruchów, ale lęk, który każe milczeć i działać szybko. Otoczeni byli teraz z dwóch stron. Od strony prawej, tuż za nimi, nadbiegali szybkim i ciężkim krokiem mężczyźni pod wodzą Uyi, który trzymał w ręku maczugę; a od strony lewej rozsypani, jak ziarnka zboża, żółte plamki wśród trawy i paproci, nadciągali Wau i kobiety, do których przyłączyły się nawet małe dzieci z nad rzeki. Obie partje zmierzały ku nim. Ścigani uciekali szybko, pierwsza Eudena.

Wiedzieli, że nie mogą spodziewać się litości. Największą przyjemnością dla ówczesnych mężczyzn było polowanie na ludzi. Skoro raz zaczęła się gonitwa, słabe zaczątki ludzkich uczuć zamierały. A Uya naznaczył tej nocy Ugh-lomiego słowem śmierci. Ugh-lomi był przeznaczoną na ten dzień zwierzyną, która stanowić miała pożywienie dla wszystkich.

Biegli wprost przed siebie — był to ich jedyny ratunek — nie zważając, na czem stawiają stopy, przez parzące pokrzywy, polany, kępy traw, z których uciekały szczekające hieny. Potem znów przez las, długie przestrzenie, pokryte zgniłemi liśćmi i mchem pod zielonemi pniami drzew. Potem przez strome zbocze, porośnięte drzewami, gęstwinę, polanę, zieloną połać trzęsawiska, znowu wolną przestrzeń, a potem krzaki kłujących głogów, z wygniecionemi wśród nich przez zwierzęta ścieżkami. Za nimi pogoń, którą wciąż wiódł Uya, wlekła się jak długi ogon. Eudena biegła pierwsza, stąpając zwinnie i lekko, gdyż Ugh-lomi niósł w ręce Kamień do Rozniecania Ognia.

Opóźnił się jego bieg — nie odrazu, ale po pewnym czasie. Jego kroki za nią zaczęły się nagle oddalać. Oglądnąwszy się, kiedy biegli znowu przez polanę, Eudena ujrzała, że Ugh-lomi pozostał wtyle i że tuż za nim biegł Uya z maczugą wzniesioną do ciosu. Wau i inni wyłaniali się właśnie z cienia lasu.

Widząc, że Ugh-lomi znajduje się w niebezpieczeństwie, Eudena skręciła wbok, wzniosła ręce w górę i krzyknęła głośno właśnie w chwili, kiedy przeleciała maczuga. A młody Ugh-lomi, spodziewając się tego i zrozumiawszy, co oznaczał jej krzyk, nachylił się tak, że pocisk zaledwie dotknął jego głowy, raniąc ją lekko i przeleciał górą. Odwrócił się, dzierżąc kwarcowy Kamień Ognisty w obu rękach i uderzył nim w piersi Uyi, który nie odzyskał jeszcze równowagi po rozmachu. Yya krzyknął, ale nie mógł się usunąć. Ugodzony między żebra, zatoczył się i upadł na ziemię z głośnym jękiem. Ugh-lomi podniósł maczugę — zbroczoną jego krwią — i zaczął biec co sił starczyło, nie zważając na cienką strugę krwi, która spływała z jego włosów.

Uya przewrócił się na bok i leżał przez pewien czas bez ruchu, a kiedy powstał, nie mógł już szybko biec. Twarz jego pobladła. Wau doścignął go, a za nim inni, gdyż kaszlał i dyszał ciężko. Ale nie zaprzestał pościgu.

Wkońcu dwoje uciekających stanęło nad rzeką, która w tem miejscu była rwąca i głęboka. Wyprzedzili Waua, obrabiacza kamieni do rzucania, który biegł pierwszy o dobre pięćdziesiąt kroków. Dzierżył on w obu rękach wielkie kamienie w kształcie ostrygi, tylko dwa razy większe o ostrych brzegach.



...ujrzał, jak przechyla się wtył i podnosi maczugę.

Zeskoczyli z wysokiego brzegu do rzeki, przebrnęli przez mieliznę, przepłynęli głęboki prąd kilkoma poruszeniami ramion i wyszli na brzeg przeciwny, rześcy i mokrzy. Brzeg ten był stromy, porośnięty gęstą wikliną, tak, że musieli się na niego wdrapać. W czasie, gdy Eudena była jeszcze między srebrzystemi gałęziami a Ugh-lomi w wodzie — albowiem maczuga ciążyła mu — Wau ukazał się na przeciwległym brzegu i kamień, ciśnięty wprawną ręką, ugodził Eudenę w kolano. — Wydrapała się na brzeg i upadła.

(CIĄG DALSZY NASTĄPI).

Poniżej: Obszerny ulster z jasnego szewiotu, utrzymany w charakterze sportowym, z nakładanemi kieszeniami, szerokim kołnierzem i klapami, podwójnie stebnowany w szwach. — Kapelusz o niskiej główce i wąskim rondzie. — Chusta w żywych kolorach, z cienkiej wełny lub grubego jedwabiu.





ŁAMIGŁÓWKI MODY MĘSKIEJ

PŁASZCZE.

Moda, nakazująca mężczyznom noszenie długich płaszczy, chyba nie przewidziała, że znajdą się wśród nich tacy, którzy biorąc te wskazania alà lettre doprowadzą wygląd swych wierzchnich okryć do absurdu. Jak wszędzieindziej, tak i tu przesada musi razić oko estetycznego człowieka i trudno jest pomyśleć, by kulturalny gentleman pozwolił sobie na włożenie płaszcza, którego długość przekracza połowę łydki. A jednak widziało się i widzi w dalszym ciągu ludzi, poubieranych dosłownie w... płaszcze „kawaleryjskie", które, jak wiemy, sięgają nieomal do... kostek. W ten sposób ulica nabiera charakteru „militarnego", tak bardzo obcego modzie gentlemana w „cywilu". Że niema to nic wspólnego z elegancją i co ważniejsze praktycznością stroju męskiego, nie potrzeba chyba dowodzić. Pozostaje tylko stwierdzenie prostego wybryku, który w obliczu nowych prądów w modzie wiosennej zakrawa na zabawną groteskę.

Bo oto wieści z zagranicy głoszą, że długość płaszczy ulegnie znaczniejszej redukcji. Nie znaczy to naturalnie, byśmy mieli wrócić do kusych paltocików z przed lat dziesięciu; jednakże moda długich ulstrów i raglanów należy zdaje się już do przeszłości. Ową nieprzekraczalną granicą długości pozostanie nadal połowa łydki, powyżej której rozegra się teraz walka na punkty między zwolennikami krótkich i dłuższych okryć męskich.

Z materjałów, najlepiej nadających się na płaszcze wiosenne, pozostały włochate szewioty o deseniach sportowych (fish-gret, krata), welury, wśród których specjalny rodzaj, przypominający strzyżone futro jest szczególnie odpowiedni do podróży w chłodne dnie, wkońcu kamgarny, najbardziej dla potrzeb miastowych predystynowane tkaniny.

* * *

Poniżej uwidocznione błędy w skompletowaniu stroju wieczorowego polecam specjalnej uwadze naszych elegantów. **Brummell.**



Podczas chłodnych dni wiosennych nosić można płaszcze ze specjalnego weluru, przypominającego strzyżone futro...



A WIĘC TAK BYĆ NIE POWINNO!

Połączenie długiego krawata ze stojącym kołnierzykiem z rożkami, jasna kamizelka dwurzędowa i spodnie w paski przy ciemnej marynarce, wkońcu mankiety przy spodniach — wszystkie te kombinacje wyszły już dawno z mody, jeśli chodzi o strój wieczorowy...

Mazurki wielkanocne



Oblewanie glazurą czekoladową i wygładzanie porcelanową łopatką.

Przysmaki te znane są w Polsce jedynie, a tak urozmaicone, że niemal każdy dom, każda gospodyni swoje własne, starannie strzeżone przepisy i sekrety ich przyrządzania posiada. Jeżeli przy naszej, chorobliwej manji wyzbywania się wszelkiej tradycji, zaginie zczasem zwyczaj urządzania „święconego", mazurki pozostaną, może w nieco zmienionej formie — ale pozostaną. Nawet w domach, które rok cały tylko cukierniczych ciast używają, robi się je w domu.

PRZEKŁADANIEC DROŻDŻOWY.

Proporcja na ciasto: ½ szklanki mąki, 20 dkg cukru, 4 dkg drożdży, szklanka mleka, 10 dkg masła, 3 jaja.

Drożdże rozpuścić w 1/4 szklance mleka, dodać szczyptę cukru i mąki. Gdy podrosną, wylać na miskę, wsypać mąkę, odrobinę soli, wlać jaja ubite z cukrem, resztę mleka i wyrabiać dotąd, aż ciasto zacznie odstawać od ręki. Wtedy wlać sklarowane masło, wyrabiać jeszcze 10 minut i postawić w ciepłem miejscu. Gdy podrośnie drugie tyle, połowę ciasta wyłożyć na stolnicę, rozwałkować i nakładać cienko do formy. Na ciasto kłaść pokrajane figi, daktyle, suszone owoce, migdały, całe rodzynki. (Jeżeli ma być tańszy, wystarczą rodzynki i dobre suszone owoce). Przykrywać warstwą ciasta i piec w gorącym piecu (ale żeby nie palił).

MAZUREK KRUCHY.

Równe ilości na wagę: jaj (ważyć w skorupkach) masła, mąki, cukru, orzechów lub migdałów i rodzynków.

Utrzeć masło na śmietanę w misce.

Wbić jedno jajo, wsypać łyżkę cukru i mąki. Gdy otrzymamy jednolitą, doskonale startą masę, wbić drugie jajo, znowu łyżkę cukru, mąki i t. d. Pod koniec wsypać migdały albo orzechy i rodzynki, wymieszać, wyłożyć do formy i piec do zarumienienia na złoty kolor około 10 minut w gorącym piecu.

MAZUREK CZEKOLADOWY.

10 dkg czekolady utrzeć z 10 dkg cukru, dodać 2 jaja, łyżkę tartej bułki, łyżkę pszennej mąki i 10 dkg drobno posiekanych migdałów. Formę wyłożyć opłatkiem. Piec (właściwie suszyć) w niezbyt gorącym piecu.

MAZUREK ORZECHOWY.

20 dkg orzechów, 20 dkg cukru, 2 żółtka, laseczka wanilji. Orzechy przepuszczone przez maszynkę wyrobić z cukrem i żółtkami (najlepiej ręką), dodać tłuczoną wanilję, nakładać cienko w foremki, wyłożone opłatkami i piec krótko w bardzo gorącym piecu.

MAZUREK MARCEPANOWY.

Robi się tak jak orzechowy, biorąc zamiast orzechów migdały, a zamiast wanilji 2 krople olejku różanego lub 1 łyżeczkę wody różanej.

MAZUREK AUGUSTOWSKI.

Funt masła uciera się z funtem cukru, potem dodaje się funt migdałów, pokrojonych drobno, dwa funty rodzynków i laskę wanilji, drobno pokrajaną. To wszystko miesza się z funtem mąki i pianą z 8 białek, po wymieszaniu piecze się na wolnym ogniu.

MAZUREK CYGAŃSKI.

12 żółtek utrzeć z funtem cukru, do tego sypie się po łyżce: funt pokrojonych migdałów, 1½ funta rodzynków, pół funta mąki i kilka pokrajanych skórek pomarańczowych, osmażonych w cukrze.

Po wymieszaniu dodać pianę z 12 białek, znów mieszać. Piecze się na wolnym ogniu.

MAZUREK POMARAŃCZOWY.

6 pomarańcz, 4 cytryny przecieramy przez tarkę, dodajemy tyle cukru, ile to zważy i smażymy, aż będzie gęste i wysmażone, potem tę masę rozsmarowuje się na kruche ciasto.

ROSYJSKA „PASCHA".

3 kg śmietankowego twarogu, 1 szklanka śmietany, 15 żółtek, 1½ kg cukru, 5 żółtek na twardo i 4 laski utłuczonej wanilji trzeć tak długo, aż się zrobi masa gęsta jak śmietana.

Wkłada się ją do drewnianej formy, wysłanej serwetką. Forma jest szersza u góry, ma cztery ścianki i niema denka. W szerszym otworze kładzie się ciężki kamień i stawia do miski, aby ściekało. Powinna stać pod prasą trzy dni, a potem jest więcej niż wspaniała.

DOSKONAŁY MAZUREK ZE SKÓRKAMI POMARAŃCZOWEMI.

Skromny mazurek, na który można użyć smażonych skórek pomarańczowych, których wszystkie gospodynie duże zapasy porobiły:

Z 30 dkg mąki, 20 dkg masła i 15 dkg cukru zagnieść kruche ciasto i upiec z niego cienką podstawę otoczoną rancikiem. Gdy ciasto przestygnie, ułożyć na niem szczelnie, jedną obok drugiej smażone skórki pomorańczowe.

20 dkg orzechów włoskich lub laskowych przepuścić przez maszynkę, 6 białek ubić na sztywną pianę, zmieszać z 10 dkg cukru i orzechami. Pokryć tem równo mazurek i wstawić do niezbyt gorącego pieca, aby się masa orzechowa lekko zrumieniła. Trzymać następnie około godziny w letnim piecu, aby uschła.



Mazurek pomarańczowy, upieczony w formie tortowej i przybrany cząstkami pomarańczy.

Nasz dział kulinarny, idąc po linji swych wytycznych zasad, popierania polskiej kuchni i jej tradycyjnych zwyczajów, organizuje

KONKURS NA WIELKANOCNY STÓŁ

Konkurs pomyślany jest fotograficznie, a Redakcja Asa, licząc się z trudnościami technicznemi Pań Domu, ułatwi im fotografowanie stołów, o czem szerzej napiszemy w najbliższym numerze, w którym podane zostaną wszystkie szczegóły konkursu.

Poniżej: Ubieranie tortów i mazurków przy pomocy kremu wyciskanego ze specjalnej tutki papierowej.





M. M. DUDREWICZOWA

KORONKI TENERYFOWE



CZĘŚĆ II.

KWADRATY, WSTAWKI I ZĄBKI

Rysujemy na tekturce kwadrat dowolnej wielkości. Nad kwadratem zostawiamy na palec wolnego papieru. Boki kwadratu muszą mieć parzyste ściegi pomocnicze, a wierzchołki muszą być wolne.

Następnie przeciągamy przekątnie. Są to linje, łączące dwa przeciwległe wierzchołki. W miejscu, gdzie się przekątnie skrzyżują, mamy punkt środkowy kwadratu. Najłatwiej rysować kwadrat w ten sposób, że bierzemy pasek papieru kratkowanego i na tekturce oznaczamy sobie jeden ścieg pomocniczy, oznaczając go daszkiem, a następny ścieg wolny itd. Sciegi w kwadracie muszą być parzyste na każdym boku, a przed każdym wierzchołkiem zostawiamy jeden ścieg czyli jedną kratkę wolną, wierzchołek zaś zaznaczamy tylko punktem. W ten sposób należy oznaczyć każdy bok, a potem połączyć tylko punkty wierzchołkowe linjami i kwadrat narysowany. Osoba zaawansowana w robotach ręcznych może kwadrat narysowany tylko linjami wykłuć na maszynie, pierwsze ściegi obok wierzchołków zostawiać wolne, a parzyste ściegi pomocnicze po bokach oznaczyć sobie daszkiem.

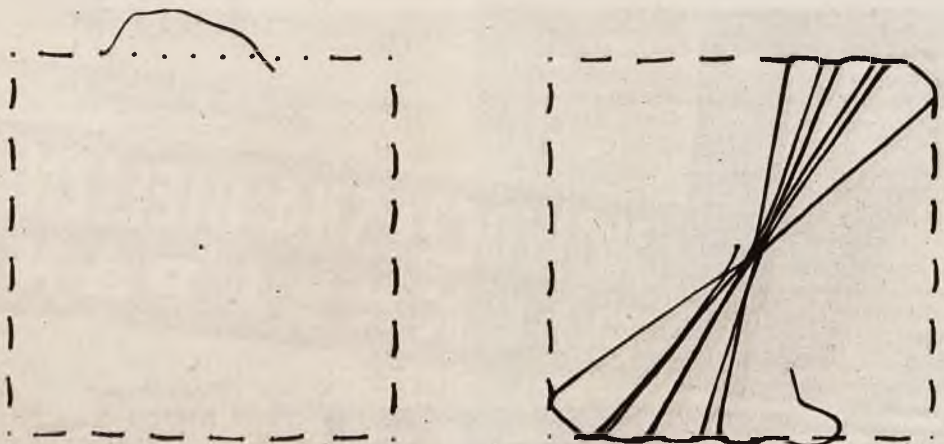
Ściegi na bokach kwadratu wyznaczamy tak samo czarną nitką, jak w kole (patrz „As" Nr. 12). Osnowę zaczynamy snuć także od środkowego punktu w kwadracie (wzór 1). Węzeł robimy duży, by nie przeszedł na prawą stronę i wkładamy igłę z lewej strony tekturki do punktu środkowego.

Wyciągamy igłę na prawej stronie i wkładamy ją w pierwszy ścieg na lewo od wierzchołka popod czarną nitkę, okalamy wierzchołek i wkładamy igłę z zewnątrz kwadratu do pierwszego ściegu na prawo. Następnie przeciągamy nić do przeciwległego wierzchołka i wkładamy igłę na lewo do pierwszego ściegu, okalamy wierzchołek i wkładamy igłę na prawo wierzchołka, także do pierwszego ściegu, a wyciągnąwszy ją wewnątrz kwadratu, wkładamy igłę znowu na górze na lewo do ściegu, gdzie już jedna nitka przeszła. Następnie wyciągnąwszy igłę na zewnątrz, wkładamy ją tuż obok na lewo do następnego ściegu. Wyciągnąwszy zaś igłę w środku kwadratu, wkładamy ją naprzeciw na prawo na dole także do tego samego ściegu, gdzie jedna nitka jest już przeciągnięta i znowu wkładamy igłę do następnego ściegu na prawo z zewnątrz kwadratu. I tak zaciągamy osnowę zawsze naprzemian po bokach przeciwległych wierzchołków.

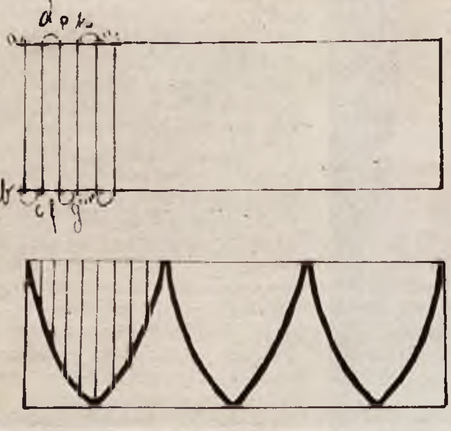
Potem zobaczymy, że tak samo, jak w kole, potworzą się w osnowie parki z nitek w każdym ściegu, a ściegi na obwodzie na zewnątrz będą zamknięte.

Na kwadracie obliczamy wzór zwykle w ten sposób, że tworzymy wzory w rogach, a więc zabieramy parki z połowy jednego i z połowy drugiego boku i cerujemy deseń z wierzchołkiem w środku deseniu.

Jeżeli chcemy wyszyć pas, wstawkę teneryfową, to rysujemy równoległobok i na prostych poziomych linjach kłujemy dziurki. Dziurki jednak muszą być wykłute naprzeciw siebie, by osnowa wypadła w linjach prostych pionowych a nie w skośnych. — Osnowę wyciągamy pierwszy raz pojedynczo przez całą długość, a potem wracamy, tworząc parki z nitek w każdym ściegu. Osnowa więc zewnątrz połączy czyli pozamyka wszystkie ściegi. Jeżeli tekturka, czy papier rysunkowy za krótki, w takim razie sklejamy go na długość. Osnowę we wstawce zaczynamy snuć od punktu *a* do *b*, następnie do *c*—*d*, potem do *e*—*f*, i tak dalej (wzór 2).



1. Przygotowanie kwadratu i zaciąganie w nim tła.



4. Serwetka teneryfowa w kształcie kwadratu z koronką szydełkową.



2. Wstawka i ząbki wyrysowane do wzoru teneryfowego.

Poniżej: 3. Kwadracik teneryfowy wykończony ściegiem szydełkowym.



Ale możemy mieć także osnowę w każdym ściegu nie parkami, tylko jako pojedyncze nitki, a to wtedy, gdy ściegi pomocnicze stebnujemy. Na końcu roboty tak wstawkę, jak i koronkę musimy brzegiem powiązać, taksamo jak i inne kształty teneryfowe. O ile możności należy wiązać parki albo pojedyncze nitki osnowy samym brzegiem tuż pod obwodem. A postępujemy w ten sposób dlatego, bo teneryfki wszywamy maszynowo w płótno lub w tiul — i wszycie wtedy występuje delikatniej.

Wiązanie osnowy brzegiem omówimy w następnym numerze.

NOWOCZESNA BIELIZNA PIĘKNEJ PANI



Koszulka blado-niebieska z crêpe satin z koronką écrue.

Droga ewolucji, jaką przeszła bielizna, zdążając do dzisiejszych, jakże miłych i praktycznych form, była bardzo długa. Z uśmiechem, jako zabytki historyczne, traktujemy dzisiaj wspomnienia o bieliźnie naszych babek, a nawet matek. A i w naszych oczach wiele się w tej dziedzinie zmieniło.

Że wszystko zmieniło się na lepsze, to trzeba przyznać odrazu. Lekarze higieniści stwierdzają to bez zastrzeżeń. Nawet pozostałość dawnej „sznurówki" — nowoczesny gorset — spełnia swą rolę, utrzymując nietylko piękną linję swej pani, ale także jako pewnego rodzaju „ochraniacz" na narządy wewnętrzne, stanowiący ich osłonę i stabilizujący trwale ich położenie. A przytem podtrzymuje pończochy, co zwalnia kobiety od noszenia podwiązek, ściskających nogę przy kolanie i nie pozwala wcinać się w pasie żadnym paskom, utrzymując w porządku bieliznę, ściąganą tylko na gumkę. A ona nie uciska bynajmniej, bo spoczywa na sztywnym gorsecie-pasku. — Z rozgrzeszeniem gorsetu poszło wszystko szybko naprzód w kierunku modernizacji bielizny, dziś przedstawia się ona jako ubiór, dokładnie dostosowany do sukienek, jakiegokolwiek byłyby one kształtu, bo wiernie zachowuje ich krój. Pod suknię kloszową — kombinacja kloszowa. Pod rozciętą spodniczkę — także forma haleczki czy kombinacji.

Ale nie tylko sam krój charakteryzuje nowoczesną bieliznę. Także i sposoby jej wykończenia i przyozdobienia zmieniły się bardzo na korzyść, ulegając przytem różnym sezonowym wahaniom. A jako najwytworniejsze motywy zdobnicze trwają zwycięsko koronki ręczne, mereżki, hafty, siateczki. — Piękności i trwałości tych robótek ręcznych nic nie zastąpi, to pewne. A i ceny można uzyskać przystępne, bo wiele kobiet w tym zakresie szuka pomocy dla domowych budżetów, które coraz trudniej wystarczają na wszelkie potrzeby.



Czarna georgetta z białą koronką — to bardzo efektowne połączenie.

Skromniej wyposażona w koronki jest bielizna dzienna od koszulki nocnej, która ma do zawdzięczenia nowym prądom w modzie swój ostatni wyraz, jakim jest upodobnienie do sukienki domowej w jej najelegantszych przejawach, wzorowanych często nawet na sukniach balowych. Datuje się to zwłaszcza od dwóch ostatnich karnawałów, kiedy czasami — zwłaszcza w przedostatnim karnawale — trudno było na pierwszy rzut oka sklasyfikować odrazu czy to tualeta balowa czy... nocna koszulka.

Gdy na nią zarzucimy bolerko, żakiecik, lub koronkowy cape już znowu zmienia się jej wygląd. Staje się ubiorem domowym, w którym przyjąć już nawet można najbliższych przyjaciół.

Największą różnicę między strojem domowym a nocną koszulką stanowi dobór materjałów. Bieliznę mamy z cieniutkich pastelowych jedwabi jednobarwnych, gdy suknia domowa jest kombinowana z gatunków cięższych nieco, w intenzywniejszych odcieniach, pozostawiając różowy kolor na użytek bielizny. Suknia domowa bywa jasno błękitna, fjołkowa, czerwona w odcieniach malw lub

Na prawo: Takie pormaty z koronek są marzeniem wszystkich pięknych pań.



fuchsji, a także z błyszczących jedwabi w jasnych tonach, począwszy od białego, którego znów na bieliznę wcale obecnie nie używamy.

Biały kolor nie jest praktyczny, ale któż, mając możność sprawienia sobie białej lśniącej pyjamy, potrafi sobie odmówić, zwłaszcza, gdy ona jest tak bardzo, jak w tej chwili, modna?

A pyjama nie zniknęła z garderoby pięknej pani, choć przeprosiła się ona z domowym szlafroczkiem lub sukienką. Lubimy ją nadal za jej egzotyczny wdzięk, jakiego przydaje sylwetce kobiecej. Ileż przytem dopuszcza interesujących pomysłów, dając do dyspozycji jej bluzę czy też żakiecik...

Można go wykonać z kontrastujących odcieni i materjałów. Można też i sukienkę domową wykonać jakimś fantazyjnym krojem z oryginalnemi rękawami, na których skupia się dużo niezwykle ciekawych efektów: długie, krótkie, bufiaste, rozcinane. Ładnie wyglądają zwłaszcza wtedy, gdy są zrobione z odrębnego materjału, cieńszego od całości, całkiem przeźroczystego z aplikacjami itd.

Bo piękna pani, wracając do swego domu po pracy zawodowej, pragnie nawet i strojem przyczynić się do uprzyjemnienia swego „home", którego oryginalne piętno jest jej dumą i chlubą.

Jest naszem powszechnem pragnieniem, aby dom rodzinny był oazą cichego szczęścia rodzinnego. Dbamy o jego wygląd zewnętrzny i wygody wszystkich członków rodziny. Wypędzić się staramy zeń wszelkie troski, aby dawał jak najpomyślniejsze warunki wypoczynku po ciężkich zmaganiach z życiem. Nie odmawiamy więc i sobie tej wytwornej przyjemności, jaką jest poczucie estetycznego wyglądu. Minąć muszą wszelkie objawy dulszczyzny, która tak długo ciążyła nad mieszczańską rodziną.

Nietylko gwiazdy hollywoodzkie, ale każda z nas może i powinna dbać o swój wygląd w domu, aż po jego najintymniejsze zakątki, bo on sam do tego zachęca swem światłem, powietrzem, wolną przestrzenią i wygodą.

Mewa.



Nowy model pyjamy z bluzą pikowaną o wysokim kołnierzu. Oryginalny krój spodni.



Nocna koszulka z georgetty i koronek z paskiem z crêpe satin. Całość kremowa.



Czarna kombinacja z georgetty czarnej z białą koronką.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA HACHÉE. Zasmażyć na łyżce masła łyżeczkę drobno posiekanej lub utartej cebulki, dodać łyżkę mąki, wymieszać, następnie dodać 2—3 łyżek zmielonej, wpierw uduszonej pieczeni cielęcej (mogą być resztki pozostałe), zasmażyć razem, rozprowadzić rosołem i pogotować chwilę. Zupę podprawia się żółtkiem i wydaje na grzankach z chleba, posypanych siekaną zieloną pietruszką lub kto lubi parmezanem.

MLECZKA CIELĘCE NA WINIE. Dwa lub trzy mleczka sparzyć i obrać z żył, następnie gęsto naszpikować młodą słoninką. Kawałek pietruszki, marchewki i selera pokrajać cienko, poddusić na łyżce masła, włożyć mleczka i dusić pod pokrywą w własnym soku. Po pół godzinie dolewa się kieliszek białego wina a po kwadransie wyjmuje się mleczka, sos, podprawia śmietanką i łyżeczką mąki i nim oblewa się mleczka na półmisku. Potrawę garniruje się zieloną sałatą i jajecznicą, kładzioną na przemian z sałatą.

SZPINAK W NALEŚNIKACH. Z dwóch jaj, ½ l mleka z wodą i potrzebnej ilości mąki i soli ubić rzadkie ciasto i wysmażyć cienkie naleśniki. Osobno przygotować na gęsto szpinak, posmarować nim naleśniki, zwinąć i ułożyć w ryneczce, ciasno jeden obok drugiego. Na pół godziny przed wydaniem, wstawić potrawę do piecyka, zapiec, oblać ćwierć litrem gotującej śmietanki i wstawić napowrót do piecyka przykryte, aby się śmietanka trochę wygotowała. Podaje się pokrajane, oblane resztą śmietanki.

SUFLET Z SZYNKI. Zasmażkę z łyżki masła i tyleż mąki zalać śmietanką, zagotować na gęsto, dodać soli, pieprzu i gałki muszkatułowej, wreszcie 10 dkg mielonej szynki, 3 żółtka i wkońcu pianę z 3 białek. Masę tę wykłada się na ogniotrwały półmisek, posypuje parmezanem, kropi masłem i piecze w piecyku przez pół godziny. Tę samą masę można nakładać na muszelki i w nich zapiekać.

SUFLET Z RYBY. 70 dkg ryby gotuje się w słonej wodzie, zakwaszonej octem. Tymczasem przygotowuje się zasmażkę beszamelową z 6 dkg masła, 8 dkg mąki i 1/4 l mleka, mieszając na ogniu aż od ścian rondelka się odrywa. Zasmażkę zaprawia się solą, pieprzem i łyżką pomidorów, wkłada oczyszczoną z ości i zmieloną na młynku rybę, poprzednio dobrze z wody osączoną; 2 całe jaja rozkłuca się na pianę, dodaje do masy, miesza, nakłada do natartej masłem rynki lub na ogniotrwałą salaterkę i wstawia na pół godziny do gorącego pieca. Sałata jako dodatek.

KNEDELKI Z RYŻU (postna potrawa). 16 dkg ryżu sparzyć wrzątkiem i odlać, następnie zalać pół litrem wody i ugotować na miękko pod przykrywą. Dwie małe bułeczki pokrajać w drobną kostkę, skropić masłem i ususzyć w piecyku. Do ostudzonego ryżu dodać 1 jajo i 1 żółtko, 5 dkg cienkiego grysiku, 2 łyżki mielonego groszku z puszki, ususzoną bułkę, zmieszać na jednolitą masę, z której się formuje knedelki i gotuje w słonej wodzie 5—6 minut. Podaje się polane masłem lub sosem pomidorowym.

PIKANTNE OMLETKI. Wymoczonego w mleku śledzia obiera się z ości i sieka drobno; 7—8 jaj, 4 łyżki wody, 2 łyżki mąki ubija się spiralką, dodaje przygotowaną masę śledziową i wysmaża z obu stron na małej patelce średnio grube omletki. Pieczone bez łupki ziemniaki (osypane przed pieczeniem lekko mąką) podaje się jako dodatek do omletów.

CIASTO DO KAWY Z MIGDAŁOWĄ POSYPKĄ. 50 dkg sypkiej mąki, 12 dkg topionego masła, 18 dkg cukru, 3 żółtka, 3 dkg drożdży w letniem mleku rozpuszczonych, łyżeczkę soli, otarta skórka z połówki cytryny. Z powyższych dodatków wraz z odpowiednią ilością letniego mleka, wybić lekkie ciasto, które się wstawia w ciepłe miejsce na godzinę, aby wyrosło. Następnie przerabia się raz jeszcze i układa na masłem natartej blasze, posypuje poniżej podaną posypkę i wstawia ponownie do wyrośnięcia. **Posypka:** 15 dkg gładkiej mąki, 6 dkg mielonych migdałów, w tem 3 gorzkie, 10 dkg miałkiego cukru, pół łyżeczki cynamonu, 11 dkg rozpuszczonego świeżego masła. Rozetrzeć to między rękami, aby się utworzyły drobne krupki. Posypane niemi ciasto kropi się masłem i piecze w gorącym piecu trzy kwadranse.

TORT ORZECHOWY LUB MIGDAŁOWY Z KREMEM. Utrzeć na pianę 5 żółtek i 15 dkg cukru, dodać łyżeczkę soku cytrynowego i troszkę skórki, 10 dkg migdałów lub zmielonych orzechów, pianę z 5 białek i 8 dkg sypkiej mąki. Upieczony tort przekroić na drugi dzień i napełnić kremem. — **Krem:** 1/4 l mleka rozkłucić z dwoma łyżeczkami mąki, dodać pół laseczki wanilji, zagotować, mieszając na gęstą papkę i wystudzić. 12 dkg masła deserowego najlepszego utrzeć na pianę, dodawać po łyżeczce 12 dkg cukru i wystudzoną papkę mleczną. Krem powinien być gęsty i sztywny. Po napełnieniu, smaruje się tort z wierzchu i po bokach i posypuje mielonemi orzechami lub migdałami.

Sc. Ko.



Maszynka do makaronu

Wałkowanie i krajanie ciasta w cieniutkie paseczki na makaron jest żmudną pracą gospodyni. Specjalna maszynka ułatwia ogromnie tę czynność i skraca jej wykonywanie.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone

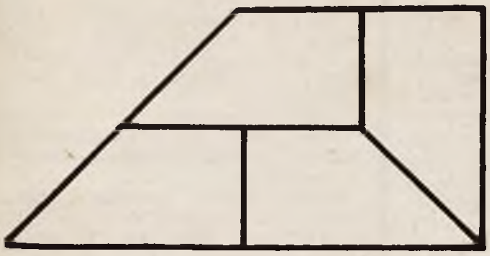
Święta rzym.-kat.	Tydzień 14 — **Marzec** — Dni 31
Niedziela **29** Eustachego	Zupa hachée z grzankami. Mleczka cielęce na winie. Bażant z czerwoną kapustą. Tort orzechowy z kremem. Kolacja: Wędlina z sałatką.
Poniedziałek **30** Kwiryna m.	Rosół z lanem ciastem. Sztuka mięsa, w sosie chrzanowym. Ozór peklowany, puree z grochu. Kompot mieszany. Kolacja: Szpinak w naleśnikach.
Wtorek **31** Balbiny	Barszcz z pasztecikami. Budyń z szynki. Sztufada z pieczeni cielęcej z duszoną marchewką. Legomina czekoladowa. Kolacja: Jaja w sosie śmietanowym.
Środa **1** Hugona bisk.	**Kwiecień** — Dni 30 Krupnik na śmietanie. Suflet z ryby. Zraziki cielęce z kaszką. Naleśniki z serem. Kolacja: Wędzone morskie ryby.
Czwartek **2** Franciszka z P.	Zupa z włoskiej kapusty. Szpinak z sadzonemi jajami. Pieczeń barania z rożna z makaronem. Kompot z śliwek. Kolacja: Pierożki z kapustą.
Piątek **3** Ryszarda	Zupa grzybowa. Knedelki z ryżu z sosem pomidorowym. Szczupak w sosie sardelowym z ziemniaczkami. Galaretka pomarańczowa. Kolacja: Kasza hreczana z serem.
Sobota **4** Izydora bisk.	Barszcz zabielany. Kluski francuskie z smażoną bułeczką. Kotlety siekane z sałatą fasolkową lub zieloną. Budyń orzechowy z sosem waniljowym. Kolacja: Marynowane śledzie, ziemniaki pieczone.

AS Kupon konkursu na najestetyczniejszy wygląd sportsmenki
Nr. 13 z dnia 29 marca 1936 r.

HOCKI-KLOCKI

Rozwiązanie z N-ru 12-go.

1. PODZIAŁ DESKI.

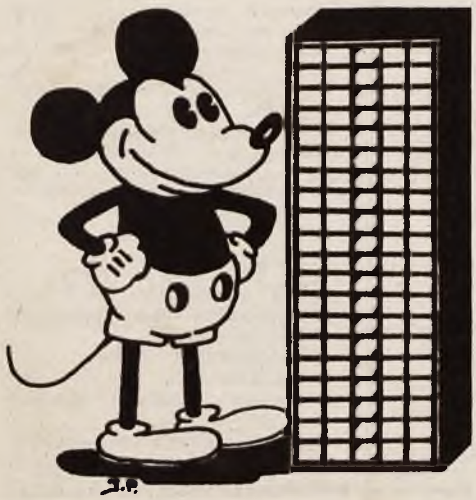


Jedyny możliwy podział deski wskazuje rysunek.

2. CHART I ZAJĄC.

Chart dogoni zająca w 75 skokach.

Zagadka literowa.



W puste kwadraty należy wpisać poziomo słowa o poniżej podanem znaczeniu. Środkowe litery słów dadzą znane przysłowie. Znaczenie słów jest następujące:

Rumak poetów. — Buława, berło. — Upiorny strach. — Uczeń szkoły wojsk. — Instrument muzyczny. — Kolor w kartach. — Gorący wicher pustynny. — Czara, puhar. — Ramiona ośmiornicy. — Gatunek drzewa. — Inaczej sanna. — Łuski zbożowe. — Bogacz, krezus. — Owoc południowy. — Pręty w oknie. — Śmiertelna epidemja. — Uczta pogrzebowa. — Inaczej kręgi. — Nazwa topora malajskiego. — Fałdy przy sukni.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

1. LIST OD BASI.

Kochana Zosiu! Nie masz pojęcia, jaki wokoło jest wrzak! W każdej rodzinie przy naszej uliczce jest czterech chłopców w różnym wieku, przyczem każda czwórka urwisów ma w sumie 15 lat. Chłopcy w każdej rodzinie dziwnym zbiegiem okoliczności nazywają się (w malejącym porządku według wieku) Wacek, Janek, Jurek i Tomek, a każda czwórka ma inny rozkład lat między poszczególnymi chłopcami.

Wacek Gołąb jest o 2 lata starszy od Janka Koguta, który ma o 5 lat mniej ode mnie. Tomek Kozioł jest rówieśnikiem Jurka Kaczora, który ma brata w moim wieku, a mój brat Wacek ma tyleż lat, ile jeden z braci Indyków. Dzięki Bogu, niema dzieci poniżej roku, bo wrzask byłby jeszcze większy! Twoja oddana Basia Gęś".

Ile lat ma Janek Gołąb?

2. DWIE MONETY.

Proponujemy czytelnikom przyjrzeć się dobrze pięciozłotówce i pięciogroszówce i odpowiedzieć, jaka jest między niemi najści ślejsza różnica?

3. ZŁOTE I GROSZE.

Pewien pan poszedł do sklepu i wydał połowę pieniędzy, które miał przy sobie. Po powrocie do domu zauważył, że miał teraz tyle groszy, ile miał poprzednio złotych i dwa razy mniej złotych, niż miał przed zakupami groszy. Ile miał pieniędzy przed wejściem do sklepu?

4. KWADRAT MAGICZNY.

Na rysunku mamy regularny kwadrat magiczny, zbudowany z liczb od 1 do 16 włącznie. Rzędy, kolumny i przekątnie dają w sumie po 34. Przypuśćmy, że nie wolno jest używać w kwadracie liczb 2 i 15, i że zamiast nich należy posługiwać się dwoma innemi, raz już użytemi, tak, by znów można było zbudować kwadrat magiczny o sumach równych 34 we wszystkich czterech kierunkach. Jakie dwie inne liczby należy powtórzyć, by zbudować nowy kwadrat?

1	14	7	12
15	4	9	6
10	5	16	3
8	11	2	13

5. WIELKA ARMJA.

Pewna dywizja składała się z przeszło dwudziestu tysięcy ludzi, podzielonych na pięć brygad. Wiadomo, że jedna trzecia pierwszej brygady, dwie siódme drugiej, siedem dwunastych trzeciej, dziewięć trzynastych czwartej i piętnaście dwudziestych drugich piątej brygady wynosiły te same ilości ludzi. Ilu było w każdej brygadzie?

HUMOR ZAGRANICZNY

SŁUSZNE ŻĄDANIE.



...miałbym do ciebie, ukochana, jeszcze małą prośbę! Nie dzwoń ciągle do mnie w czasie mego urzędowania!... **(„Die Woche")**

PEDANTYCZNY ODKRYWCA.



Krzysztof Kolumb do marynarzy:
— Pierwszy, który nos wytrze w moje żagle będzie musiał zapłacić rachunek za pranie.
(„Le Rire")

NOWE KSIĄŻKI.

„Zburzenie Trebizondy", tragedja nazwana przez autora, krakowskiego dramatopisarza **Feliksa Płażka**, „bajką", jest siódmym skolei utworem scenicznym tego pisarza, którego utwory widziały światło ramp przed wojną. „Elektra", „Pogrom", „Eirene", „Trzy struny", „Ardea", „Napięty łuk", oto poczet utworów Płażka. Czytając jego książkę ostatnią (Kraków, Gebethner i Wolff), mimowoli dziwimy się, dlaczego w dzisiejszym teatrze, w którym tak szybko zbankrutowały „nowinki", zaprzeczające wszystkiemu temu, co faktycznie było, jest i będzie sztuką dramatyczną, w którym właśnie znów od lat kilku obserwujemy triumfalny powrót dramatu — że tak nazwiemy — „klasycznego", nie wystawia się sztuk takich jak właśnie Płażka, wiodących swój rodowód wprost z dramatu ściśle klasycznego, a zmodernizowanych w oparciu o najszlachetniejsze wzory wielkiego dramatu współczesnego. Czy przeszkadza temu tło, jakie Płażek daje swym utworom, tło zaczerpnięte po największej części z epok mitologicznych? Czy też osoba autora, który — pracując w ciszy — nie narzuca się i czeka na „odkrycie"? A przecież w dzisiejszych czasach reklamy i autoreklamy jest to pozycja zgóry stracona! „Zburzenie Trebizondy" podobnie jak poprzednie utwory Feliksa Płażka — to dramat o wysokiem napięciu, z doskonale przeprowadzoną akcją, rosnącą, stopniującą się ze sceny do sceny, z silnemi typami, napisanemi specjalnie „do wygrania", ze scenami zbiorowemi, które w dobrej reżyserji dać mogą wrażenie o nieprzeciętnej sile artystycznej. Zwykła dziewczyna jako oś całego dramatu i wykazanie żywiołowego wpływu niszczycielskiego dla idei ze strony kobiety, ujmuje dramat w zakres zupełnie aktualnego problemu. Nowa sztuka Płażka ma swą wielką wartość, nawet jako tylko lektura w książce.

O swej **„Legendzie murmańskiej"** (Warszawa, Gł. Księgarnia Wojskowa) pisze autor, **Zdzisław Chrząstowski**, że jest to „zbiór szkiców opracowanych na kanwie prawdziwych zdarzeń, nie jest ani historją, ani kroniką, ani nawet pamiętnikiem... Jest to literacka charakterystyka legendy murmańskiej... i dzieje młodzieńczego animuszu Murmańczyków". Ale czyta się tę książkę jak najciekawszą powieść, poznając dolę i niedolę Murmańczyków, wśród których występuje też nieodżałowany poeta Eugenjusz Małaczewski. Dowiadujemy się z tej książki o wielu szczegółach, mogących znakomicie przydać się do charakterystyki tego pisarza, który tak świetnie zabłysnął na horyzoncie naszej literatury i przebył szczęśliwie wojne poto, by dać się zwyciężyć przez gruźlicę. Znajdujemy też w tej ciekawej książce nieznany utwór Małaczewskiego. Wśród licznych powieści, pamiętników i różnego rodzaju książek o wojnie „Legenda murmańska" wyznacza się szczerością, prawdziwością niepodfałszowaną i stanowi bardzo interesującą lekturę — a dodać jeszcze trzeba kilka słów pochwały o jej szacie zewnętrznej tak starannej i artystycznie wypracowanej, jak wszystkich książek tego wydawnictwa. w. z.

To warto poznać...



„Wesele" Stanisława Wyspiańskiego odniosło wielki sukces na scenie **Teatru Polskiego w Katowicach.** Premjera nieśmiertelnego dzieła jest równocześnie wielkim sukcesem teatru katowickiego, gdzie Wanda Siemaszkowa, odtwarzającą na prapremjerze krakowskiej (w r. 1901) rolę panny młodej, zagrała obecnie rolę gospodyni i równocześnie z pietyzmem, stylowo wyreżyserowała arcytwór Wyspiańskiego. Przedstawienie zostało przygotowane tak starannie, że artyści mogli grać bez suflera. A wszyscy grają z przejęciem i dużą starannością, a zwłaszcza, obok Siemaszkowej, Barwińska, Ostoja-Staszewski, Czajkowski, Kostrzewski, Martyka i inni.

Teatr Miejski na Pohulance w Wilnie w 150 rocznicę premjery na scenie wileńskiej, odegrał **„Wesele Figara"**, komedję w pięciu aktach Beaumarchais, w świetnym przekładzie Boya-Żeleńskiego. Komedję reżysersko przygotował Borowski, dekoracje dał W. Makojnik, a kierownictwo muzyczne objął S. Czosnowski. „Wesele Figara" wystawiono z dużym pietyzmem, właściwą stylową inscenizacją, oprawą dekoracyjną i kostjumową, podkreślając charakter i epokę dzieła. Ilustracja muzyczna i gra całego zespołu jest niemal wzorowa; rolę tytułową odtwarza bardzo zdolny młody aktor Dejunowicz, którego Figaro ma dowcip, lekkość, zwinność, wdzięk i szczerość uczucia. Doskonałe są dwie postacie kobiece, hrabina Lili Zielińskiej i garderobiana Elżbiety Wieczorkowskiej. Reszta zespołu: Ścibor, Mrożewski, Neubelt, Surowa, Ściborowa, Zastrzeżyński, Polakówna, Jasieńska i Borowski, starannie. Komedja cieszy się dużem zainteresowaniem i bawi doskonale publiczność.

Teatr Miejski w Bydgoszczy po premjerze **„Balladyny"** Słowackiego gra obecnie popularną **„Szesnastolatkę"** Stuartów, która cieszy się większem powodzeniem u publiczności niż poemat dramatyczny Słowackiego. „Szesnastolatkę", dobrze wyreżyserował dyr. Stoma, a rolę tytułową gra bardzo dobrze Paszkowska.

W Teatrze Polskim w Poznaniu weszła na repertuar sztuka Tadeusza Konczyńskiego **„Zburzenie Jerozolimy"**, która wywołała uprzednio w Warszawie tyle sprzecznych głosów i polemiki. W Poznaniu „Zburzenie Jerozolimy" przygotował reżysersko Roman Zawistowski, a role główne odtwarzają Wroński, Kierczyński, Hańcza i Pluciński. Jedyną rolę kobiecą Weroniki gra interesująco Łabuńska.

W Teatrze Miejskim w Łodzi bawi na gościnnych występach Aleksander Węgierko, który mistrzowsko wyreżyserował komedję Shawa **„Żołnierz i bohater"** i, równocześnie grał tytułową rolę „Żołnierza". Głównym partnerem Węgierki, jako „bohater", jest Kalinowski, który zasługuje na uznanie, podobnie jak Tymowska, Niedźwiedzka i Mroziński.

W Warszawie w Teatrze Małym dla rozbawienia publiczności grana jest dobra zabawna farsa Acharda **„Koko"** w przekładzie J. E. Skiwskiego, która otrzymała znakomitych odtwórców ról głównych w osobach Gorczyńskiej, niezrównanego Leszczyńskiego, Kajzerówny, Grolickiego i innych. (swb).



Niedziela, 29 marca.

16.30 Transmisja nabożeństwa z kościoła Św. Krzyża w Warszawie.
12.15 Poranek muzyczny z Wilna.
14.00 Audycja literacka „Nieznane rękopisy Sienkiewicza".
14.25 Muzyka lekka.
16.00 „Jak rozmawiam z moim psem" — opowiadanie dla dzieci.
16.15 Chór Juranda śpiewa.
16.50 „Krakowska migawka regjonalna" — z Krakowa.
17.10 „1000 taktów muzyki" — gra zespół Stefana Rachonia.
18.15 Słuchowisko oryginalne Józefa Mayena „Savonarola". Wieczór I-szy p. t. „O Florencję".
20.00 Koncert symfoniczny.
21.00 „Na wesołej lwowskiej fali".
21.30 „Na pograniczu dwóch światów" — feljeton.
22.00 Muzyka salonowa i taneczna.

Poniedziałek, 30 marca.

12.25 Koncert z udziałem solistów.
15.30: Trio Janiny Pachulskiej.
16.15 Muzyka.
16.45 „Skutki moralne bezrobocia młodzieży" — pogadanka.
17.10 Muzyka.
17.20 Słuchowisko orygin. Józefa Mayena „Savonarola". Wieczór II-gi p. t. „Zwycięstwo".
18.00 Recital fortepianowy Felicji Blumentalówny.
20.00 „Tęcza w orkiestrze" — Muzyka lekka i salonowa w wyk. Małej Orkiestry P. R.
21.00 Mały koncert.
21.30 „Dziś popisują się ptaszki" — Giudo Gialdini oraz Reginald Foort na Wurtlitzerowskich organach.
22.00 Koncert symfoniczny z okazji „Tygodnia Śląska".
23.00 Muzyka taneczna.

Wtorek, 31 marca.

12.15 „Kukiełki Śląskie" — audycja dla szkół z Katowic.
12.40 „Godzina w Francji" — koncert.
15.30 Muzyka lekka.
16.15 Zespół Wiktora Tychowskiego i Jerzego Rosnera.
17.15 Płyty dla znawców.
18.10 Piosenki francuskie w wykonaniu Stefanji Millerowej.
18.30 „Książki o chłopach i wśród chłopów" — szkic literacki.
20.10 Koncert muzyki lekkiej.
21.00 IX Koncert Historyczny muzyki polskiej.
22.00 Muzyka lekka w wykonaniu Małej Orkiestry P. R.
22.45 „Osobliwości wód leczniczych w Polsce" — odczyt w jęz. esperanckim dr. Gadomskiego.
23.05 Muzyka lekka.

Środa, 1 kwietnia.

12.15 „Walka z chorobowością", pogadanka.
12.30 Koncert orkiestry Tadeusza Seredyńskiego.
16.00 „Zagadki muzyczne" — audycja dla dzieci starszych.
16.20 Duety w wykonaniu Bronisławy Marwidówny i Łucji Czechowiczówny.
17.00 „Dyskutujmy".
17.20 „Jak to miło w kwietniu bywa" — audycja Jerzego Gerżabka z Poznania.
17.50 O książce Stanisława Vincenzo „Na wysokiej Połoninie".
18.40 Życie kulturalne i artystyczne stolicy.
18.55 „Rozkosze hreczkosiejstwa", skecz.
20.00 Muzyka lekka.
21.00 XXX audycja z cyklu „Twórczość Fryderyka Chopina".
21.40 „Prima aprilis literacki" — dialog Jana Waśniewskiego z Adamem Galisem.
22.05 Muzyka taneczna.
23.30 „Pogawędka w języku angielskim".

Czwartek, 2 kwietnia.

13.00 Muzyka polska z płyt.
15.30 Muzyka.
16.15: Recital wiolonczelowy Alberta Katza.
17.00: „Mieszczaństwo polskie w dziejach i życiu narodu": „Mieszczaństwo Wielkopolskie" — odczyt, wygłosi Stanisław Wasylewski.
18.00: IV. Koncert z cyklu „Najpiękniejsze sonaty Mozarta".
18.40: „Jak spędzić święto?"
18.55: „Nowiny leśne".
20.00: „Ostatni piosenkarz Lwowa".
21.00: Premjera słuchowiska oryginalnego p. t. „Djabeł".
21.35: „Nasze pieśni" — II część z cyklu „Stanisław Moniuszko — pieśniarz".
22.45: Muzyka taneczna.

Piątek, 3. IV. 1936.

12.15: Audycja dla szkół p. t. „Jak gwiazdka śniegu kroplą wody się stała".
12.40: Muzyka salonowa.
15.30: Koncert w wyk. kwartetu Salonowego Rozgłośni Krakowskiej.
16.00: Pogadanka dla chorych.
16.15: Koncert Orkiestry Tadeusza Seredyńskiego.
17.00: „Skarby Polski" — odczyt.
17.20: Koncert chóru „Echo".
18.00: „Śladami Janosika" — audycja.
20.00: Koncert symfoniczny.
22.30: „Skrzynka techniczna".
22.50: „Spacer po Europie".

Sobota, 4 IV. 1936.

12.25: Koncert orkiestry kameralnej.
14.30: Muzyka salonowa.
15.00: „Siwe włosy" — legenda Artura Górskiego.
15.30: Koncert zespołu salonowego Pawła Rynasa.
16.15: Wesoła audycja dla dzieci.
17.00: Nabożeństwo z Ostrej Bramy w Wilnie.
17.50: „Upośledzona prowincja" pogadanka.
18.00: Pieśni w wykonaniu Edmunda Płońskiego.
18.25: Miniatury muzyczne w wyk. Kwartetu Smyczkowego.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.